Nr. 41. Warszawa, dnia 28 Września (10 Października) 1896 r. Rok XVI.

PRAWDA

FILOZOFIA · NAUKI SPOŁECZNE · NAUKI PRZYRODNICZE · HISTORYA · JĘZYKOZNAWSTWO · SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezplatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: POLITYKA: Anglia i Wschód. — Tydzień polityczny. — ODCINEK: Stefan Żeromski. „Tabu.“ — ŻYCIE SPOŁECZNE: Nieporozumienia. — Liberum veto, p. Posła Prawdy. — Pamiętnik. — BADANIA NAUKOWE: Henryk Struve. Wstęp krytyczny do filozofii, p. W. Kozlowskiego. — Piękno w naturze ze stanowiska hygieny duszy i ciała, II, p. dr. Henryka Nussbauma. — LITERATURA I SZTUKA: Literatura francuska, p. W. Bugla. — Literatura polska, p. J. T. Hodi. — SPRAWY EKONOMICZNE: Postępy techniki kolejowej, II (c. d.), p. Zen. Piet. — W dali. — O prawdę: 1) p. S. S., 2) p. Jana Barszczewskiego. — Kronika. — Odpowiedzi Redakcyi. — Ogłoszenia.

POLITYKA.

Anglia i Wschód.

Gdyby pióro było armatą, jużby teraz okręty angielskie w przystani tessalonickiej nie leżały na kotwicy, a sułtan nie myślałby dopiero o posłaniu do Dardanellów sześciu statków torpedowych: historyczny przesmyk morski, alboby się już w mocy angielskiej znajdował, albo też kule angielskie przemawiałyby skuteczniej do jego fortów nadbrzeżnych, niż przemówić umiała dyplomacya do sułtana. Ale pióro jest tylko wątłem, giętkiem, dla wszelkiej siły i bezsilności ducha, dla woli czynu i dla niedołęztwa zarówno powolnem narzędziem. Wypisano się, wykrzyczano, wywnętrzono do dna w swem wszechludzkiem współczuciu — i serce Anglii, znużone porywami, odpoczywa teraz, aż do wielkiego meetingu z d. 19 października. Robotę bierze na powrót w swe ręce rząd—i w ciszy, właściwej robotom dyplomatycznym, obmyśla najlepsze lekarstwo i na konwulsye tureckie i na własną swą niemoc.

Trzy tygodnie temu, kiedy stary Gladstone, jeszcze przed mową liwerpulską, pisał swój list, jakby posłanie powszechne do ludzkości, naród angielski, mający swój organ w meetingach, dziennikach i broszurach przygodnych, dopominał się ni mniej, ni więcej, tylko „sforsowaniu“ Dardanellów, strącenia sułtana i wytworzenia takiego porządku rzeczy nad Bosforem, w którymby prawo zastąpiło bezprawie, Europa — Turcyę. Nie miał to być rozbiór, ale jakaś *negotiorum gestio*, jakieś działanie bez upoważnienia, wszakże dla dobra właściciela, tj. w interesie zarazem i panowania tureckiego w Europie i chrześcian pod panowaniem tem jęczących. Wziętoby Turcyę w zarząd, mocarstwa podzieliłyby się—zarządem, nie Turcyą— i wszystko poszłoby dobrze: nie byłoby rozbioru, a więc wojny europejskiej, a byłby porządek, najpotężniejsza pokoju podpora.

Na marzenie takie niema miejsca w rzeczywistości faktów; co więcej, marzenie takie, odsuwając niby rozbiór, właściwie popycha tylko do niego. Ów wspólny zarząd w interesie pupila, jakiem stałoby się w stosunku do Europy państwo tureckie, musiałby w bardzo krótkim czasie sprowadzić wspólne podzielenie się pupilowem dobrem; a jeśliby go nie poprzedziło porozumienie się co do rozbioru, wspólka zakończyłaby się wojną. Lord Salisbury innej szukać musi drogi, inną obmyśliwać terapię. A może, widząc ogromne trudności tej podwójnej kuracyi, której brzemię na sobie dźwiga, nie poprzestanie na niewinnych łagodzących okładach, dotychczas u Złotego Rogu stosowanych, i wróci pod złote jarzmo wspólnego działania. Po dwóch ważnych naradach, które miał w końcu września, złożył zaraz konferencyę z ambasadorami Rosyi i Francyi. Nic z tych wszystkich rokowań nie przebłysnęło dotychczas w prasę; ale cokolwiek pisano i mówiono, utrzymanie państwa tureckiego i sułtana nie przestało być hasłem dla dyplomacyi. Może z pod tego hasła wyjdą jakieś ogólne reformy; trzeba być jednak bardzo niemądrym, aby się po nich czegokolwiek spodziewać.

Politykę Anglii, zarówno jak całej Europy, krępuje zasada: gdy już nie można odwrócić, to przynajmniej odwlec aż do ostatniego momentu. Wszystko, cokolwiek się już stało i stanie przed terminem tych fataliów — miało i mieć będzie, wyciśnięte na sobie piętno tymczasowości, wyczekiwania, wzajemnego prześcigania się w wytwarzaniu warunków na ów właśnie moment najdogodniejszych. Pierwszy u mety stanie ten, kto najlepiej w wyczekiwaniu działać i innych przeczekać będzie umiał — dla ostatecznego celu w ostatecznym momencie — a nie ten, kto nad ludzkością bóle swe roztaczał, współczucie szerzył, do bezzwłocznego ratunku zagrzewał. Polityka wszechświatowa, polityka wielkich mocarstw spełnia się pod hasłem: „Do siebie i dla siebie,“ a nie jest nigdy jawną, i nie puszcza słowa samopas, bez siły. O ostatecznym momencie siła rozstrzyga. Im później przyjdzie do porozumienia się o rozbiór wspólny, tem mniejsze będzie prawdopodobieństwo zapobieżenia rozbiorowi jednostronnemu. Każda chwila go przybliża.

Tydzień polityczny. Sejm węgierski po niepamiętnie cichem spędzeniu września na obradach d. 2 października doczekał się zamknięcia, a we 2 dni później uroczystego rozwiązania przez samego króla, przybyłego na poświęcenie mostu Franciszka Józefa w Budapeszcie. Wybory odbędą się między 28 października a 6 listopada, d. 23 t. m. zbierze się nowy sejm. Z najpilniejszych spraw wystąpi przedeń budżet i ugoda, z mniej pilnych — reforma administracyi.

Dnia 1 października zebrała się Rada państwa w Wiedniu. Minister skarbu Biliński przedstawił budżet na r. 1897. Pergelt w imieniu Niemców czeskich, Herold w imieniu Czechów wnieśli skargi na ucisk wzajemnie na siebie wywierany—z pomocą władz rządowych. P. Badeni odpowiadał. Budżet

zamyka się 692 milionami, dając przewyżkę 600,000 guldenów; ale obok niego jest budżet nadzwyczajny na *inwestycye*, tj. pokrycie różnych potrzeb bieżących, jednorazowych, z którego znowu spada na skarb ciężar 25 milionów. Dla załatania nowych i dawniejszych dziur zaciągnie państwo pożyczkę 50-milionową, po $2^1/_2$%. Interpelacye były odgrzewanemi już potrawami dla panów sejmujących. P. Badeni dawał obu stronom nauki rozsądne, które przecież będą grochem na ścianę; z mowy jego pozostanie tylko zapewnienie, iż rząd szuka porozumienia z Czechami i sprawę tę ma na swym porządku dziennym.

Dzienniki angielskie, ochłonąwszy z oburzenia „wentylują“ teraz myśl porozumienia się z Rosyą i Francyą. Potrójne zatem przymierze, zamiast niedoszłego w latach dawniejszych poczwórnego: dopiero takie porozumienie się ma dać podstawę pewną. Ambasadorowie w Stambule układają projekt reform ogólnych dla całego państwa. Sułtanowi projekt ten nie wydziera dobrego humoru: podarował yacht — zapewne zdezolowany — księciu Czarnogórskiemu i wyznaczył komisyę z 5 paszów-europejczyków do sumiennego zbadania przyczyny i przebiegu wypadków 26 sierpnia—napaść na bank i rzeź w Konstantynopolu. Jeżeli co z tej komisyi być może, to chyba tylko zabawka historyografii.

Cesarz Wilhelm, znając się nad polityką — zrobił nowy rysunek symboliczny. Z Romintu powrócił trochę chory. Plan nowych podróży wszakże stoi po dawnemu.

W Trydencie odbywał się w końcu września i początku października budujący kongres przeciwko Masoneryi europejskiej.

Anglicy nie zajęli jeszcze Starej Dongoli. Pułk Staffordzki odesłali do Kairu, gdzie podobno Abbas ma jakieś złe zamiary po tajemnem widzeniu się z p. Hanotaux w Paryżu.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

„NIEPOROZUMIENIA.“

Fakty z ostatnich lat kilku wykazały, że polityka ekonomiczna między Rosyą a Niemcami należy do zadań niezmiernie trudnych. Zachowanie równowagi z zaspokojeniem interesów obustronnych wprowadza w grę wiele czynników wymiany i produkcyi, potrąca o byt całych mas ludności. Z zachowania się Niemców niejednokrotnie widzieliśmy, że interesy garstki przedsiębiorców i spekulantów, postawione na szali potrzeb krajowych przeważały sumę potrzeb całych mas spożywców. Ta właśnie garstka wytwórców i aferzystów, silnych kapitałom i wpływem u steru, była przed paru laty żarzewiem wojny celnej niemiecko-rosyjskiej, a dziś prawdopodobnie przyczyną nieporozumień, których, w chwili gdy to piszemy, jeszcze całkowicie nie usunięto. W r. 1893 podczas rokowań agraryusze niemieccy wykazali całą swoją żarłoczność niczem nienasyconą. Dzięki dość silnemu zaognieniu sprawy i jej przewlekłości, wymogli oni dość znaczne ustępstwa. Dziś atoli apetyty nieco zaspokojone obudziły się znowu z całą siłą. Rząd niemiecki zostawiwszy sobie zawczasu furtki i wyłomy w murze celnym, dziś z nich skorzystał w sposób zdradziecki, wprowadził przez nie szeregi nowych ograniczeń dla bydła i produktów spożywczych, wywożonych z Rosyi. Szczególnie bydło rogate, owce i wieprze mają obecnie prawie zupełnie zamknięty wstęp do Niemiec. Konie zaś poddawane są surowej i drogiej rewizyi weterynaryjnej, a od trzech miesięcy ani mięso, ani słonina pochodząca z Rosyi, niema tam wstępu. Agrarczycy starają się wreszcie wszelkiemi siłami wyjednać zakaz dowozu gęsi, mleka, jaj, siana, słomy i wielu innych produktów rolnictwa.

Wobec takiej polityki Niemcy bardzo logicznie mniemają, że i Rosya będzie musiała uciec się do podobnych środków względem sąsiadów. Znamienne są przypuszczenia w tej mierze *Berlin. Tgbl.* Organ ten twierdzi, iż rząd rosyjski zaprosi chemików, którym poleci „znaleźć“ mikroby w chmielu niemieckim, krochmalu itd., podobnie jak agraryusze znaleźli drobnoustroje szkodliwe w zbożu rosyjskiem. Nadto—skasuje wszelkie ulgi, które nie są wyraźnie określone w traktacie handlowym, zastosuje surową rewizyę względem koni przychodzących do Rosyi wraz z podróżnymi i towarem, obostrzy formalności celne, zabroni cudzoziemcom utrzymywać kantory ekspedycyjne przy komorach rosyjskich itd. Ponieważ wszystkie tego rodzaju kantory są w rękach Niemców, więc zakaz, jak twierdzi organ berliński, dotkliwie odbije się na ich interesach. Wreszcie surowa kara spotka i samych agraryuszów, którzy pozbawieni będą tanich rąk roboczych, napływających przeważnie z gub. Królestwa Polskiego.

Bezstronność i odwaga *Berliner Tageblatt* wywołała zgrozę śród innych organów. Bo istotnie, rzecz niesłychana, pismo to oświadczyło, że niezadowolenie Rosyi jest zupełnie słuszne: „Jeżeli bez obawy dla warunków zdrowotnych Szlązka Górnego — mówi to pismo — można codziennie przepuszczać przez granicę 1,000 wieprzów, to warunki owe nie stracą chyba na przepuszczeniu 4,000 sztuk. Trzeba wziąć pod uwagę i tę okoliczność, że zakaz dowozu świń, idących przez granicę do szlachtuzów górnoszlązkich, motywowany był przez agraryuszów twierdzeniem, że mięso z tego źródła zapełnia rynki berlińskie i przynosi szkodę gospodarstwu wiejskiemu w Niemczech. Taki powód, wypowiedziany w parlamencie, nie był odparty dość energicznie przez br. Hammersteina. Kiedy potem ilość przywożonych wieprzów istotnie zmiejszono, w sferach rządowych rosyjskich musiało się zrodzić słuszne podejrzenie, że właśnie to żądanie agraryuszów, lecz nie żadna epizootya była przyczyną środka ograniczającego... W każdym razie przemysł niemiecki powinien wiedzieć, że ograniczenia rosyjskie będzie zawdzięczać wyłącznie agraryuszom.“

Inne organy opinii publicznej, a raczej interesów pewnej garści przedsiębiorców

---

Stefan Żeromski

„TABU.“

Pani Ewa, wysiadłszy z pociągu, szybko minęła dworzec i znalazła się na błotnistym jego dziedzińcu. Stał tam rozklekotany powóz, zaprzężony w parę koni bardzo starych i wychudłych. Ujrzawszy przybyłą właściciel „dryndy“ tęgiem smaganiem obudził ze snu koniska i z hałasem bliżej podjechał.

— Możecie mię zawieźć do szpitala? — spytała go pani Ewa

— Dla czegóż znowu nie mam zawieźć? Od tego tu dzień dnia stoję. Pani wiezie chorego?

— Nie, jadę sama., odwiedzić chorego.

— No to łaska pani może wsiadać.

— A ileż wy za to będziecie żądali?

— Ij... bagatelka! Pół rubla mi wielmożna pani pofasujesz całego kramu...

Pani Ewa wsiadła i stary wehikuł zaczął podskakiwać i dzwonić na kamienistym i pełnym wybojów gościńcu. Gdy szkapy przebyły całą długość miasteczka i wyciągnęły dorożkę za ostatnie chaty na szczere pole, ukazał się w oddali szereg budynków szpitalnych. W czystem i nasyconem światłością powietrzu wiosennem na tle nowozrodzonej, kwietniowej zieloności pól i łąk — te ogromne ceglaste domy tkwiły ponuremi bryłami. Pani Ewa przyglądała się im i okolicy z pewnem zdumieniem. Jadąc tamtędy po raz pierwszy z chorym mężem przy końcu lutego, w samym momencie nieszczęścia prawie tego krajobrazu nie widziała. Przypominały się tylko jej pamięci niektóre rzeczy: małe, chorowite zimą i latem drzewko przydrożne z urwaną gałęzią, smutne, jak widok człowieka bez ręki, — pochylony słup wiorstowy, nagły zakręt drogi... Z miękkiego widoku pól wyrywały się one z okrutną tyranią i stawały przed jadącą, niby bezlitosne narzędzia przeżytej tortury. W miarę zbliżania się do szpitala przybywało ich coraz więcej. Gdy dorożka stanęła przed gmachem frontowym, pani Ewa wysiadła, opłaciła woźnicę, z trudem odemknęła ciężkie drzwi wchodowe i udała się na piętro po szerokich, kamiennych schodach. W kancelaryi zastała młodego lekarza, zawiadowcę tego właśnie oddziału chorych umysłowo, do liczby których mąż jej należał. Doktorek rozmawiał z nią życzliwie, a więcej niż życzliwie przyglądał się jej pięknemu, pobladłemu obliczu; uspokoił ją kilkoma frazesami, brzmiącymi bardzo naukowo, jakie zapewne wypowiadał zawsze do żon, sióstr i matek, odwiedzających jego pacyentów — i poprowadził ją na dół przez szeroki dziedziniec do parterowego budynku, stojącego oddzielnie wśród martwego ogródka.

— Długo pani z nim siedzieć nie dam,— mówił, wchodząc na korytarz, przecinający wzdłuż dom cały.

— Dobrze, panie doktorze.

— Naprzód pani sama poczeka w mieszkaniu siostry Julii, później jego wprowadzę i chwilę z wami posiedzę, bo, widzi pani. on bywa jeszcze czasami rozdrażniony. Potem wyjdę na korytarz. Gdyby był niespokojny — zaraz się zjawię.

— Dobrze, panie doktorze.

Minęli kilka drzwi zamkniętych i stanęli przed szóstemi z prawej strony. Doktór otworzył je cicho swoim kluczem i wszedł do izby, służącej za rozmównicę. Pani Ewa zatrzymała się w pobliżu drzwi, a gdy lekarz wyszedł, usiadła na małej kanapce. Smutki, obawy, zgryzoty i niepokoje, władające na przemiany jej istotą aż do tej chwili — jedne po drugich ją opuszczały. Z głębi ich wypływał mężny i mocny spokój, heroizm dusz bardzo cierpiących. Wkrótce drzwi się otworzyły i wkroczył do pokoju człowiek młody, chudy, z włosami roztrzepanemi i ubraniem w nieładzie. Jego bladoniebieskie oczy wytrzeszczone i nieruchome błyszczały złowieszczo, usta spalone gorączką drgały bolesnemi ruchami, a zeschły język naprożno je usiłował zwilżyć co chwi-

i aferzystów, tłómaczą się tem, że rozporządzenie co do rewizyi weterynaryjnej wydano jeszcze w r. 1893, przed zawarciem traktatu handlowego, który przecież pozostawia stronom wszelką możność przedsiębrania środków weterynaryjnych „według danych okoliczności.“ W Niemczech zaś jakoby szerzy się zaraza niezwykła, przyniesiona przez bydło pochodzące z Rosyi. Dodajmy, że zaraza ta zwykle powstaje na zawołanie, ilekroć wymagają tego interesy agraryuszów. Potrafili oni oddziałać na redakcyę artykułów traktatu w sposób wogóle zgubny dla rolnictwa naszego. Jest ono bowiem ciągle na łasce rozporządzeń, wynikających pod pokrywką zarazy. Stokroć są lepsze najsurowsze ograniczenia wwozu, ściśle określone, niżeli taka możność wchodzenia zdradzieckiego przez wyłomy i furtki. Bo gdyby np. wiadomo było, że w pewnej porze roku wolno przez granicę niemiecką przewieźć 1,000 wieprzów, 2,000 czy 3,000 sztuk bydła, hodowcy po wspólnem porozumieniu się mogliby unormować odpowiednio do tego produkcyę. Dziś oni są zupełnie na łasce przedsiębiorców i spekulantów niemieckich, nie wiedzą, ile mają hodować na wywóz owiec, wieprzów, bydła itd., bo nigdy nie wiadomo, kiedy granica będzie zamknięta lub jaką ilość sztuk wolno przewieźć. Zbyteczną byłoby dowodzić cyframi, jak wielkie straty ponosi nasz kraj pod względem ekonomicznym, albo jaki haracz płacą spożywcy w obrębie państwa niemieckiego na rzecz owych aferzystów, którzy zmonopolizowali handel bydłem, mięsem i wieprzowiną. Regulują oni dopływ tego towaru w ilości bardzo małej, niewystarczającej na potrzeby ludności i każą za to płacić ceny uciążliwe dla mas. Na wszelkie protesty w tej mierze mają jedną odpowiedź: „W Rosyi panuje zaraza i nie możemy wprowadzać jej do kraju.“ Gdyby ta zaraza panowała istotnie w takiej sile i nieprzerwanie, jak głoszą Niemcy, to już dotąd nie byłoby w obrębie państwa rosyjskiego ani jednej sztuki bydła, ani jednego wieprza.

Tę grę podsycaną pozorami warto byłoby przerwać stanowczem podaniem warunków: albo granica będzie zupełnie zamknięta, kosztem tych represalij, jakich Niemcy się boją, albo musi być otwarta i warunki wywozu unormowane za pośrednictwem konwencyi weterynaryjnej i kosztem tych ustępstw, jakie Rosya dała Niemcom przed trzema laty po zawarciu traktatu handlowego. Już wtedy w toku układu i ich chwiejności widzieliśmy pewną determinacyę w sferach właściwych. Zdawano sobie dobrze sprawę z tych strat, jakie trzeba będzie ponieść na rzecz Niemców: „Rozmiary ofiar należy oceniać tylko samą tych strat, które wynikną z konieczności przeniesienia nagłego nadmiaru produkcyi rolnej z rynków najbliższych, a więc najdogodniejszych — niemieckich, na inne mniej dogodne. Ale korzyści, wypływające z rynków niemieckich, były znacznie zmniejszone jeszcze w początkach r. 1892, kiedy sąsiedzi obciążyli zboże rosyjskie opłatą wysoką. Z drugiej zaś strony niedogodność nowych rynków może być w części usunięta zmniejszeniem kosztów przewozu na znacznej odległości. Takie, chociażby chwilowe zatamowanie zbytu zboża musi dotkliwie się odbić na interesach rolnictwa, które nie będzie mogło sprzedawać ziarna natychmiast i za sumy stąd otrzymane prowadzić dalej najpilniejszych robót gospodarskich, opłacać długów i ciężarów podatkowych. Ale pod tym względem rząd przedsięwziął środki energiczne, jak czynienie zapasów zboża dla intendentury, przyjmowanie podatków włościańskich w naturze — zbożem, szeroka organizacya łatwego i taniego kredytu na ziarno.“ (M. J. Kazi, „Z powodu wojny celnej z Niemcami.“ Petersburg, 1893)

Pomimo jednak przygotowania wówczas całego arsenału środków obrony, wzięła przewagę polityka ustępstw. D. 17 czerwca 1893 r. podpisano z Francyą umowę handlową, na której mocy za ustępstwo ze strony Francyi w jednym tylko artykule — ułatwienie wywozu tłuszczów mineralnych (z tą gałęzią produkcyi w Rosyi nikt współzawodniczyć nie może), zrobiono ustępstwo aż w 36 artykułach ustawy taryf celnych z r. 1891, zmniejszono mianowicie na towary francuskie cło o 10—25%, w tej liczbie na maszyny i narzędzia rolnicze 25%). W kilka miesięcy potem Niemcy otrzymali również znaczne ulgi pod względem dowozu ich produktów, zarówno przez granice lądowe i morskie, pomimo że żegluga towarowa niemiecka rozporządza znacznie większymi środkami, niż rosyjska i pomimo że traktat nie zapewniał korzystych warunków, niezbędnych dla rozwoju rolnictwa i różnych pokrewnych gałęzi gospodarstwa w obrębie Rosyi.

Dziś nowe ograniczenia i utrudnienia ze strony Niemiec wyraźniej zarysowały nieco odmienniejszą, niż dawniej, politykę ekonomiczną u steru, co się dało nawet spostrzedz na zjeździe przemysłowym w Niższym Nowogrodzie, gdzie p. minister Witte powiedział, że „dopóki sąsiedzi drą z nas skórę za nasze produkty, o zniżeniu cła nie można myśleć.“ Te zaś przypuszczenia, które wypowiedział organ berliński względem „represalij,“ mają wszelkie szanse prawdopodobieństwa. Polityka ustępstw nie przyniosła pożądanych rezultatów, a więc możliwa jest walka za pomocą ograniczeń. Wszelka wojna wyrządza straty ekonomiczne, więc i tu, w razie takiego zaostrzenia, można byłoby oczekiwać przewrotu w stosunkach handlowych wewnętrznych i zewnętrznych. Rząd niewątpliwie pomyślałby przedewszystkiem o ułatwieniu wewnętrznych dróg zbytu, jak np. organizacya giełd zbożowych, rozszerzenie zaliczeń, udzielanych na zboże przez koleje i banki, urządzenie rzeźni centralnych

---

ła. Obłąkany zdawał się nie zwracać uwagi ani na przybyłą, ani na lekarza, — wymijał ich niedbale i krzyczał ochrypłym głosem:

— Wojciech Jastrzębowski napisał agronomię, a ja Henryk Dąbrowski oprę na szerszym gruncie socyologicznym cebulonię altruistyczną...

Rzucił nagle okiem i jakby dopiero wówczas dostrzegł Ewę. Wnet zbliżył się do niej i, podsuwając do oczu zeschły i ogryziony kawałeczek skóry sera szwajcarskiego, mówił:

— Patrz, moja ślubna żono, przypatrz się z łaski swojej, co ja gryzę, co ja liżę, co ja oblizuję z nadzwyczajnym apetytem...

— Panie Dąbrowski — rzekł doktór — czy to ładnie tak jest wcale się nie witać z żoną? Przyjechała odwiedzić pana, pogadać, a pan tak? Pocałuj ją pan zaraz w rękę!

Chory patrzał na niego zdradzieckiemi oczyma, chodził po izbie.

Doktór nieznacznie przyszedł do drzwi, otworzył je prędko i wysunął się z pokoju. Wtedy pani Ewa wydobyła z niewielkiego koszyka skrzyneczkę cukierków, otworzyła ją i podała mężowi. Rzucił się zaraz do cukierków, nabrał garść pełną i wpakował sobie w usta. Przełknąwszy pierwszą porcyę, złapał drugą, trzecią, wreszcie chwycił pudełko i wylizał okruszyny. Gdy już z pomadek nie zostało ani śladu, spojrzał na żonę i zaczął gadać na nowo. Nie przerywając swej wędrówki, wyrzekł kilkakroć wśród istnej powodzi wszelakich wyrazów:

— Ewunia, Ewunia...

Usiłowała wziąć go za rękę i posadzić obok siebie, ale się jej wydarł, — więc sama przysiadła na łóżku i oparła głowę na rękach. Dotknąwszy się jego ciała, jego dygocących dłoni z nabrzmiałemi żyłami, znowu uczuła w sercu ostrze włóczni, która jej życie przebiła... Szybkimi pociskami myśli, podobnymi do błyskawic, objmowała ciemne noce, przeżyte w tym domu przez jej nieszczęśliwego męża, noce podobne do tajemniczych przestworów, zalanych przez martwe wody, nad któremi wisi ciemność wiekuista. W ciągu pojedyńczych minut usiłowała zdrowymi nerwami wyczuć i zmierzyć okropne jego boleści, straszliwe trwogi, — za pomocą potężnego skupienia całej swojej istoty ważyła się złamać wejście do wnętrza tego lochu, spokojnie rozpatrzeć sekrety tamtego potwornego kraju — i walczyć. Ach, walczyć! Wszak po to przyjechała. Zebrać do kupy potęgi duszy, jakiemi tylko człowiek włada i uderzyć w nieznanego wroga. Jeżeli to jest zły duch — to ucieczce, jeżeli to jest rana — to się zagoi, jeżeli to jest sama bojaźń — to ustąpi, jeżeli jakiś ból niepojęty — to się uśmierzy...

Obłąkany zatrzymał się przed nią na chwilę, później usiadł na łóżku i już to ziewał przeraźliwie, już szeptał do siebie. Objęła go z najczulszą miłością, przycisnęła jego głowę do piersi i zaczęła mówić cichym, natchnionym głosem:

— Henryku, posłuchaj uważnie, Henryku... Powiedz mi, co tobie jest, co tobie się wydaje... Powiedz mi to wyraźnie, żebym ci mogła wytłómaczyć. Namyśl się dobrze, a zobaczysz, że ja cię bez niczego wyleczę. Czy się ty boisz jeszcze ciągle?

Chory milczał, patrzał w ziemię i wykonywał swe dziwaczne giesty.

— Czy ty się boisz jeszcze ciągle? — szeptała pani Ewa, przytulając się do niego całem ciałem. Głos jej brzmiał tak dziwnie, że gdyby była w stanie dźwięk jego świadomie posłyszeć—wcaleby go za swój nie uznała.

— Ach, ach... — szeptał Dąbrowski.

Umilkła, pochłonięta przez nadludzką pracę swej duszy. Chciała w owej chwili przelać wysiłkiem woli w chorego swe zdrowie, niewidzialnemi rękoma szukała w ciemności ran jego duszy, wdzierała się dla poznania wszystkich jego cierpień po jakichś szczeblach niepojętych...

— Pomyśl sobie teraz — mówiła — pomyśl w tej chwili i zawsze później myśl to samo, ile razy do ciebie bojaźń przystąpi...

— Ona jest za wszystkiemi rzeczami,

w miastach ważniejszych, ułatwienie i wzmocnienie przewozu bydła i trzody wewnątrz państwa, zaopatrzenie w ten produkt wszystkich miejscowości, dla których był on dotąd nieprzystępnym; przeciwdziałanie spekulacyi i pośrednictwu w handlu opasami, dotąd niemal zmonopolizowanym w rękach gromady spekulantów, wreszcie wyszukanie dalszych rynków zagranicznych. Środki takie nie wymagałyby nadzwyczajnych wysiłków i wpłynęłyby na znaczny przewrót stosunków ekonomicznych, a zarazem uwolniłyby produkcyę i handel wewnętrzny od zależności sąsiadów. Do takich wszakże energicznych zabiegów i nowej organizacyi ratunku zapewne nie przyjdzie, gdyż dziś już daje się ze strony Niemców spostrzegać skłonność do usunięcia „nieporozumień" celnych. Odczuli oni wybornie nowe podmuchy w polityce ekonomicznej Rosyi, ocenili własne korzyści i straty. Ostatecznie nieporozumień owych jeszcze ani wyjaśniono, ani załatwiono. Należy jednak mniemać, że przy nowem załatwieniu sprawy interesy rolnictwa będą postawione na pierwszym planie i że za punkt wyjścia będą wzięte z obu stron warunki kontroli weterynaryjnej; że wreszcie Niemcy zechcą uznać powagę świadectw Rosyi w tej mierze. W takim razie wygodne pozory agraryuszów znikną, a na światło wystąpią potrzeby masy spożywców niemieckich, składających wielki haracz nienasyconej spekulacyi.

LIBERUM VETO.

Pożar wioski.

Wy wszyscy, którzy przyglądacie się szybkim przejazdom straży ogniowej na ratunek, wy, którzy widujecie języki płomienne, dobywające się z okien kamienic miejskich i szybko gasnące pod strumieniami wody sikawek, nie mówcie, że znacie ogień jako żywioł niszczący i pożar jako klęskę. Ażeby zrozumieć tę straszną siłę i ten wstrząsający obraz niedoli ludzkiej, trzeba zobaczyć pogorzel wsi. Tu ogień nie wije się jak wąż między ściskającemi go cegłami i żelazem, nie skacze i nie wygryza sobie kawałków żeru, jak pies w twardym szkielecie końskim, lecz rzuca się jak gromada tygrysów na stado bezbronnych antylop, wylewa się jak wezbrana rzeka, przelatuje jak orkan, zmiatający wszystko ze swej drogi. Iskra zatlona w słomie po godzinie staje się jeziorem płomieni. Jeszcze zaskoczeni przez zdradliwego wroga nie uświadomili sobie niebezpieczeństwa, już zostali nędzarzami. Zaledwie w jednym punkcie trysnął złowrogi zdrój ognia, już cała wieś bije ku górze słupem pożogi i rozpościera po niebie całun krwawej łuny. Słoma, siano i drzewo roztapiają się w płomiennych falach bez śladu i tylko gdzieniegdzie sterczą z nich nagie, czarne kominy, niby skały, na których rozbił się statek. O ratunku nie ma tu mowy: ogień roztacza kręgi zbyt szybko, narzędzia przeciwpożarne nie istnieją wcale, ludzie uderzeni nagle nieszczęściem tracą zupełnie przytomność. Co najwyżej jeden dźwiga po drabinie na płonący dach konewkę wody, drugi wyprowadza z obory bydło i konia, trzeci wynosi skrzynkę, czwarty chwyta osmalony kożuch, a kobiety i dzieci płaczą rozpaczliwie, jak gdyby miały nadzieję, że okrutny żywioł zmiłuje się nad ich niedolą i cofnie się przed ich krzykiem. A on pędzi dalej drogą bezlitosnego zniszczenia i zatrzymuje się dopiero wtedy, kiedy już wszystko pożarł.

Tak zginęła prawie doszczętnie jedna z najlepszych wsi naszych — Wielgolas Duchnowski, w powiecie Nowomińskim. W każdej okolicy naszego kraju byłaby ona uważana za gniazdo zacne, ale szczególnie jasno odbijała się w swojej. Podczas gdy jej sąsiadki — jak większość sioł w obrębie złego wpływu Warszawy — cierpią na chroniczne kradzieże, pijaństwo, głębokie zepsucie moralne — ta była zdrowa. Wielgolas nie miał karczmy, nie przechowywał w swem łonie wyślizgujących się sprawiedliwości złoczyńców, nie obciążał swoimi zatargami sądów — pracował w znoju i cnocie, szczerze kochając ziemię, którą dorobkiem coraz szerzej z sąsiednich folwarków ogarniał. To też doszedł do względnej zamożności, która zrodziła w nim niezwykłe potrzeby umysłowe i pragnienia wyższej kultury gospodarczej. Znałem wielu jego mieszkańców, ceniłem i szanowałem. Byli to poważni, myślący i uczciwi gospodarze, którzy czuli swą godność ludzką i jasno pojmowali swoje prawa społeczne.

I to ładne, zasobne poczciwe gniazdo włościańskie jedna iskra zaprószona w brogu słomy zamieniła na gromadę bezdomnych żebraków miłosierdzia ludzkiego! Ogień zakradł się do niej jak złodziej, bo w chwili, kiedy zebrali z pola cały plon — zboże, trawy, kartofle i kiedy starsi mężczyźni udali się na naradę gminną. Wróciwszy z niej, zobaczyli już tylko siwe dymy, pełzające po miejscach, gdzie stały ich chaty, obory, stodoły, stogi i sterty. „Nie uratowaliśmy nawet kłaczka słomy na wiechcie do butów" — mówił do mnie jeden z nich.

Położenie chłopa, który postradał mienie w pożarze, jest daleko gorszem od podobnego nieszczęścia innych ludzi. On nie ma zamożnych krewniaków, którzyby mu podali rękę, a jeśli nawet ich posiada w swojej sferze, to wiążą go z nim te chłodne stosunki, które zawsze oziębia chciwość i stężałość uczuciowa nizin społecznych. On nie ma przyjaciół, gotowych do poświęceń dla niego; a jeżeli ich nawet posiada, to oni również wraz z nim wpadli w niedolę. On nie ma również naturalnej opieki we dworze, bo się odeń odciął. Sam używa swego dostatku i sam dźwiga brzemię ruiny. A ruina ta jest zwykle straszną, bo gdy ogień po nim przejdzie, to mu zabierze wszystko — i dom, i zapasy żywności zgromadzone na rok cały, i narzędzia pracy. Nagłym obrotem losu w jednej chwili nie ma on gdzie się przespać i co w usta włożyć. Dopóki klęska go nie dotknęła, zdawało mu się, że żyje w wielkiej rodzinie; gdy go zniszczyła, widzi, że jest zupełnym sierotą.

Sieroctwo to uwidoczniło się bardzo wyraźnie po pożarze Wielgolasu. Do pogorzelców nie pospieszyli ani przyjaciele, ani ludzie możni z pociechą lub ratunkiem. Nie opuściło ich tylko nieszczęście. Zgnębieni, osmaleni, bladzi lub czarni od dymu stali w milczących gromadkach lub samotnie, oswajając oczy z obrazem zniszczenia, który rysował się przed nimi, jak

---

za wszystkiemi rzeczami, osobno, sama jedna...

— Nie bój się! Powiedz mnie tylko, twojej Ewuni. Ja ci to wszystko zaraz wytłómaczę! Czego?

Podniósł głowę i spojrzał na nią dawnemi, ukochanemi oczami. Na twarzy jego malowała się niewysłowiona boleść. Przytulił się do żony i mówił jej tajemniczo do ucha:

— Wezmą mię...

— Ja ci zaraz wytłómaczę! Weź mię za rękę, o tu, trzymaj mię mocno! Czyż cię nie kocham?..

— Znowu mię wezmą, znowu mię wezmą... — jął mówić, patrząc na nią szeroko roztwartemi oczami. Nagle zerwał się, zaczął chodzić po izbie, potrząsać głową i wykrzykiwać swoje:

— Wojciech Jastrzębowski napisał agronomię...

Ręce, w których pani Ewa trzymała przez chwilę głowę męża, bezsilnie, jak martwe opadły. Zaczęła płakać. Niewyczerpane łzy płynęły po jej twarzy, łzy, które nie zabierają z serca boleści, lecz wynoszą zeń życie, łzy, co uchodzą z człowieka, jak uchodzi krew z żył poprzecinanych... Obnażały one jakąś ranę, odsłaniały jakąś mieliznę w duszy, pokazywały samo dno cierpienia...

Nie przemogła złego. Nic nie nada miłość, góry jakoby z miejsca na miejsce nosząca, nic poradzi wola nad wszelkie trudy mocniejsza i wytrwałe męstwo i ślepa wiara w ratunek sprawiedliwości. Patrzała w ziemię i nie podnosiła głowy. Chory znowu siadł obok niej i rozprawiał. Przez łzy widziała jego dzikie oczy, trzęsącą się głowę, ruchy niespokojnych rąk, czaszkę, w której już nic nie było, bezużyteczny kadłub zwierzęcy...

— Gdzież jest twoja nieśmiertelna dusza? — myślała w uściskach strasznego żalu. Tę myśl, jak szpadę wbijała w swe serce i zadawała mu cios po ciosie — aż do dzikiego okrucieństwa.

Nagle chory trącił ją w ramię. Spojrzała na niego i śmiertelnie zbladła. Miał na twarzy wyraz wstrętnej lubieżności, uśmiechał się i wykonywał obydny giest błagalny. Porwała się z miejsca i jednym skokiem rzuciła ku drzwiom. Obłąkany chwycił ją w pół drogi. Wtedy drzwi szybko się otworzyły i lekarz odsunął waryata w kąt izby, ująwszy go potężną ręką za klapy surduta. Pani Ewa wybiegła na korytarz, trafiła do wyjścia i znalazła się na brukowanem podwórzu. Idąc po kamieniach, w pewnych odstępach czasu głęboko i głośno, prawie z krzykiem łkała, nie roniąc łzy ani jednej. Była niemal pewną, że trzewiki jej, uderzając o te kamienie, depcą, krzywdzą i nękają jakieś istoty nieszczęsne. Bez pojęcia dokąd idzie, znalazła się w bramie, prowadzącej na dróżkę uboczną. Ten szlak błotnisty, niedawno w bezużytecznym gruncie wyżłobiony, doprowadził ją na gościniec. Szła tamtędy, nie podnosząc głowy, nie będąc w możności oderwania oczu od ziemi i ani powstrzymania, ani zwolnienia kroku. Ruch machinalny i bezwładny, ruch rzeczy popchniętej wstrzymał ją od głośnego krzyku. Na drodze bitej stały tu i owdzie płytkie kałuże szarej wody. Gdzieniegdzie widniał na błocie ślad bosej nogi. Przed idącą — od jednej kałuży do drugiej — przelatywała mała pliszka. Ptak ten sfruwał z miejsca, gdy pani Ewa zbliżała się zanadto, mknął po linii falistej do następnego błota, tam wstępował w wodę, maszerował po niej w rozmaitych kierunkach, przekrzywiał główkę i za pomocą badawczych spojrzeń sporządzał jakieś ekonomiczne obserwacye. Kiedyniekiedy pliszka z cicha pogwizdywała, jakby z gniewem... Oczy pani Ewy, które od chwili wyjścia ze szpitala widziały tylko jakby zwłoki przedmiotów, poczęły teraz trzymać się małej ptaszyny, niby trwałego i żywego punktu.

— Jakaś ty szczęśliwa, jakaś ty szczęśliwa... — szeptały do pliszki jej drżące usta.

(C. d. n.).

okropny a niewiarogodny sen, poszukując w zgliszczach resztek straconego mienia lub wpatrując się w niebo wzrokiem żalu pełnym. A na sąsiednich łąkach, gdzie wyniesiono uratowane sprzęty i odzież, w zimnem błocie, w nienakrytych z wierzchu szałasach z kołków, spódnic, płacht, kapot i kożuchów, leżały na mokrej ziemi bez podściołki kobiety i dzieci. Tak je ogień przeraził, że nawet gdy zgasł, bały się wyjść z bagna.

Ale nie myślcie, ażeby ten cmentarz brzmiał chórem głośnych utyskiwań. Osiadł tu smutek wielki, ale niemy. Chłop czuły jest taką samą rzadkością, jak garbaty. Organizm nerwowy, jak kaleki; nie wytrzyma długo ciężkich warunków prostego życia i ginie. Pozostają tylko zdrowi i nieczuli, którzy w największej niedoli mówią mało. Każdy za to wyraz ich skargi pada na duszę, jak kropla roztopionego ołowiu. Pogorzelcom wielgolaskim ocalało kilkaset sztuk bydła bez źdźbła paszy. Przezimować -go niepodobna. Każdy może zostawić jedną krowę, ażeby dzieci miały trochę mleka, resztę trzeba sprzedać na rzeź. Ale którą wybrać, a którą oddać pod nóż? Tu ów nóż zaczyna krajać serce biednego chłopa, który głęboko wzdycha, łzy rękawem ociera, a zdecydować się nie może. On tyle lat pracował i zabiegał, ażeby dojść do pięciu lub dziesięciu krów, wychował je od cieląt, przywiązał się do nich zapamiętale i nagle musi je sprzedać — komu? Rzeźnikowi, który wyzyskując przymus nieszczęścia, ofiaruje po 10 rs. za piękną i mleczną dojkę.

Jeżeli zechcecie wmyśleć się w te dusze, w te stosunki, w to życie rzadko oświecane słońcem, a ciągle smagane szarugą, to przyznacie, że niekoniecznie trzeba być Walensteinem lub Maryą Stuart, ażeby być bohaterem i bohaterką dramatu.

Poseł Prawdy.

PAMIĘTNIK.

Tanie wydawnictwo.

Trzeba przyznać, że p. H. Wawelberg, bankier, pragnie być obywatelem hojnym w wielkim stylu. Co rok prawie daje on znaczną sumę na użytek publiczny: zakłada muzeum, szkołę techniczną, uprzystępnia najuboższym nabycie dzieł Mickiewicza, obecnie zaś wydał i sprzedaje za 2 rs. całą trylogię historycznych powieści Sienkiewicza. Czy koszta nakładu odzyska, nie wiemy; w każdym razie autor otrzymał podobno 15,000 rs. — honoraryum u nas dotąd niepraktykowane — a ogół trzy utwory wielkiego talentu niemal za cenę makulatury. Chyba żaden inny wypadek naszego życia bieżącego nie świadczy wymowniej, gdzie się przesunął punkt ciężkości filantropii obywatelskiej. Sienkiewicz jest apologetą możnowładztwa szlacheckiego, a w *Ogniem i mieczem*, *Potopie* i *Wołodyjowskim* posunął się już chyba do szczytu chwalby dla tego żywiołu. I właśnie dziwną logiką rzeczy tę apoteozę „wielkich rodów“ i „zacnych klejnotów“ rozszerzył w społeczeństwie nie żaden potomek owych rodów i posiadacz owych klejnotów, lecz wzgardzony i wydrwiwany przez nich — Żyd. A szanowni spadkobiercy sławy bohaterów Sienkiewicza poprzestali tylko na... kupieniu sobie po zniżonej cenie jego dzieł, jeżeli—co jest bardzo wątpliwem—wszyscy je kupili. Czy to gdziekolwiek byłoby możliwem? Czy np. byłoby możliwem, ażeby Mendelsohn berliński łożył na spopularyzowanie dziejów arystokracyi niemieckiej? Kto wie, czy nie jesteśmy świadkami narodzin nowego u nas możnowładztwa, podczas gdy stare rzuciło się do wydzierania Żydom lombardów i zyskownych gałęzi handlu lub zamknęło się w stajni. Byłaby to pyszna humoreska historyi.

Zwyciężony szermierz.

W zeszłym tygodniu zmarł redaktor warszawskiego *Izraelity* — Pełtyn. Jako kierownik i długo niemal wyłączny współpracownik pisma, poświęconego wyłącznie sprawom żydowskim, musiał on z konieczności zająć stanowisko wojujące. Rzeczywiście *Izraelita* był albo ustawiczną elegią, skarżącą się na złość i niesprawiedliwość innowierców względem Żydów, albo też redutą, odbijającą szturmy nieprzyjaciela. Łatwo zrozumieć, że pismo, napełnione w przeważnej części polemiką i powtarzające się ciągle w swych argumentach, musiało szybko znużyć czytelników. Nużyło zaś ono tembardziej, że zależne w równej mierze od poparcia konserwatystów i postępowców swego wyznania, lawirowało między dwiema skałami, obawiając się rozbicia o którąkolwiek. Pewien wszakże mglisty ideał przeświecał z jego nieśmiałych i niewyraźnych marzeń. Pełtyn widział go w szczerym wyznawcy Starego Zakonu, w czcicielu tradycyi i obrządków mozaizmu, ale zarazem żądał, żeby ten niewynaturzony Żyd był człowiekiem ukształconym, czynnym na rozmaitych polach działalności i życzliwym dla swego innowierczego otoczenia. Nie chciał on przyznać, ażeby w tym idealnym typie spotykały się sprzeczności, z których jedna wyłączała drugą. W jego przekonaniu kultura żydowska harmonizowała się doskonale z ogólną. Ale gdy on zacierał różnice i godził przeciwieństwa, jego czytelnicy, zależnie od tego, na którem stali skrzydle, dostrzegali je i ciągnęli go w dwie przeciwne strony. To też nie będąc przewodnikiem rzeszy jednolitej, trzymając w ręku właściwie dwa sztandary, nie mógł nigdy stanowczo zwyciężyć i padał ofiarą swej dwoistości. Jedni uważali go za wstecznika, drudzy za radykała. Jest to zwykły los ludzi, którzy mają dobre chęci, ale którym brak jasnej myśli i śmiałej energii. Ale i dobre chęci nie schodzą ze świata bezpotomnie.

Powrotna fala.

Naprzód okoliczność łagodząca *Głos* za mało ma czytelników i za zbyt pragnąłby ich pomnożyć kosztem pism innych, zwłaszcza nieco pokrewnych, ażeby mógł nie robić hałasu i nie napadać *Prawdy*. W poprzedniem jego istnieniu funkcyonował w nim nawet taki osobny pan, który ogromne zapasy swej mądrości i dowcipu zużytkowywał co tydzień przeważnie na szykanowanie naszego pisma i jego redaktora. Ile tam w ciągu lat kilku było złośliwych pogwizdywań, przygryzków, płaskich konceptów, osobistych impertynencyj pod naszym adresem — trudno byłoby spisać na słoniowej skórze. Zdawało nam się, że pod obecną redakcyą ta szlachetna i budująca taktyka nie powtórzy się; widocznie jednak i tu *on revient toujours a ses premiers amours*. Ponieważ tym razem szykana ma pozór dowodu, a zarazem wkracza w dziedzinę delatorstwa, więc musimy zastanowić się nad nią. *Głos*, przytoczywszy dwa ustępy z artykułu wstępnego i „Liberum veto“ (nr. 38 *Prawdy*), usiłuje wykazać między nimi rażącą sprzeczność. Przedewszystkiem zaznaczyć winniśmy, że dopóki ludzie nie są ściśle równomiernymi trójkątami, które przystają do siebie w każdym punkcie, dopóty nawet między najbardziej podobnymi i najmocniej związanymi wspólnością przekonań muszą istnieć pewne różnice zdań. I rzeczywiście nie ma na świecie partyi, stowarzyszenia, jakiegokolwiek wreszcie związku ludzkiego, w którymby te odrębności jednostek nie objawiały się wyraźnie. Muszą też one występować w takiem ciele zbiorowem, jakiem jest pismo peryodyczne, zwłaszcza gdy w niem przemawiają ludzie dojrzali, a nie komenderowana przez nauczyciela gromada żaków. Nietylko więc nie żenują nas pewne sprzeczności w szczegółach mniemań między współpracownikami *Prawdy*, ale uważamy je za bardzo naturalne i pożyteczne starcie myśli, w zasadzie swej jednorodnych i w kierunku łącznych. Czy wszakże zachodzi ten wypadek w dowodzie, do którego przyczepił swą szykanę *Głos?* Przytoczymy go nawet według przeróbki fejletonisty tego pisma.

Poseł Prawdy powiada:

„*Nieraz*, a dziś bardziej niż kiedykolwiek, zabawnie wyglądają kłótnie ludzkie o słuszność tej lub owej teoryi społecznej, o niewzruszoność tej lub owej *zasady życia*, wyższość tego lub innego systemu *postępowania*: zabawnie dlatego, że na uboczu stoi technika, która drwi z tych zapasów słownych, przekonana, że ona swymi wynalazkami przeważy na szali losów świata najwymowniejsze morały. *Dziś* istotnie ona ujęła w swe ręce te losy i od niej daleko więcej zależą przemiany w ustroju życia i biegu wypadków, niż od filozofów i reformatorów.. Jakim przemianom uległyby stosunki ludzkie z chwilą, w której wynalezionoby kierowanie balonami! itd.“

Pan S. K. w artykule wstępnym mówi:

„Niech się śmieją i drwią! Wszystko co jest naokoło człowieka, musiało być pierwej w człowieku samym: najbardziej rzeczywistą, najgłębszą siłą świata nie są te *machiny*, *mechanizmy* i organizacye, które banalnie uważamy za jedyną rzeczywistość, jest nią sofoklesowy człowiek — jego umysłowość, jego myśl i żądza twórcza, jego potrzeba istotna lub złudna, pewien zły lub dobry sposób odczuwania, rozumienia i pożądania — ostatecznie ów wypędzany stoma biczami ideał... Najpotężniejszą siłą świata stoi wergiliuszowe. *Mens agitat molem!*“

Mniejsza o to, że fejletonista *Głosu* dla wzmocnienia efektu zdania ostatniego cytaty ustawił dowolnie, ważniejszem jest objaśnienie, że przemilczał przed swymi czytelnikami, iż p. S. K. mówi nie o *machinach* i *mechanizmach* fabrycznych, ale o politycznych, nie o tworach technologii, ale dyplomacyi. Gdyby tego nie utaił, sprzeczność by znikła i szykana nie miałaby rozmachu wobec dwu autorów, z których jeden utrzymuje, że nieraz technika ludzka przeważa szale sporów teoretycznych o zasady życia i postępowania, a drugi, że „nie polityka jest najpotężniejszą siłą świata, że — jak się wyraża Wirgiliusz — „myśl porusza masą.“ Ale potrzeba było koniecznie haczyka do zawieszenia na nim elegancką ręką następującej apostrofy:

„Wszelkie *terminatorstwo* jest okresem mimowolnych błędów i niedoskonałości; to też kiedy najwytrwalszy z naszych idealistów dziennikarskich, ścigający sofoklesowego człowieka *nawet za Żelazną Bramą* (!), nawet pod łachmanami *Chawy Rubin*, *rozpoczął termin* w „materyalizmie ekonomicznym,“ można było przewidywać z góry, że wszystkie duchy Grecyi i Rzymu będą go wiodły na pokuszenie dawnych ideałów i wierzeń. Teraz jednak koryfeusze materyalizmu ekonomicznego podjęli widocznie wyprawę wspólną i odpędzili widma Sofoklesów, Homerów, Wergiliuszów od wezgłowia ich dotychczasowego wyznawcy. Ale Grek chytry, jak to jest u nich w obyczaju, użył podstępu i — wygnany z gospody swej zwykłej — z fejletonu *Posła Prawdy*, usadowił się w artykule wstępnym, zwabił tam za sobą wypędzonego również Wergiliusza i kazał mu wykrzyknąć w samo ucho tryumfującej mary Engelsa: *Mens agitat molem!*“

Pomijamy szewcki styl tych uwag, a chyba możemy o tyle zaufać rozumowi i wykształceniu naszych czytelników, że oni bez naszej pomocy ocenią moralną i naukową wartość tej insynuacyi. Twierdzić, że kto dowodzi, iż nieraz, a nawet dziś szczególnie postępy techniki oddziaływają rozstrzygająco na losy świata, jest wyznawcą „materyalizmu ekonomicznego,“ twierdzić tak u nas dla dogodzenia jedynie pragnieniu szykany, na to potrzeba być... „terminatorem“ może, ale w czem?

BADANIA NAUKOWE.

Henryk Struve: *Wstęp krytyczny do filozofii.* Warszawa, 1896.

Prof. Struve, ogłaszając w r. 1870 pierwszą część swej *Logiki*, zapowiedział, że „wyjście dalszych części tego dzieła, również do druku przygotowanych, zależyć będzie od przyjęcia przez publiczność niniejszej wstępnej części, gdyż może poświęcać drogi swój czas tylko w takim razie, gdy praca jego zdoła przynieść literaturze krajowej istotną korzyść...“ Ponieważ dotąd dalsze części *Logiki* nie ukazały się, musimy wnosić, że przyjęcie, jakiego doznała wstępna jej część, nie odpowiedziało oczekiwaniom, a przynajmniej życzeniom autora. Zawód doznany musiał go dotknąć głęboko, gdyż od owej chwili nie wystąpił p. S. z żadnem dziełem większych rozmiarów, poświęconem rozważaniu oddzielnej gałęzi filozofii. Dopiero w roku bieżącym, a więc po upływie dwudziestu sześciu lat, ogłosił książkę, której napisanie, chociażby tylko ze względu na jej rozmiary, wymagało wielkiego nakładu pracy i długiego czasu Jest to bowiem książka formatu wielkiej ósemki o siedmiuset przeszło stronicach, z których większa część wydrukowana jest petitem. Jeżeli więc autor tym razem nie pożałował „swego drogiego czasu i pracy,“ widać, że nastąpiła jakaś zmiana w okolicznościach, która go przekonała, że teraz właśnie nadeszła pora, w której „praca jego zdoła przynieść literaturze krajowej istotną korzyść.“

Jakiegoż to rodzaju jest ta zmiana? W odpowiedzi na to pytanie nasuwają się dwa przypuszczenia: albo społeczeństwo nasze było dotąd obojętne dla wszelkiego ruchu filozoficznego i obecnie dopiero zaczyna brać w nim żywszy udział, albo też kierunek, którego prof. Struve jest przedstawicielem, nie umiał w pierwszej chwili pozyskać dla siebie uznania i teraz dopiero, dzięki jakimś zmianom w usposobieniu ogółu, zaczyna go powoli nabywać.

Pierwsze przypuszczenie nie może się ostać wobec znanego dobrze faktu, że właśnie wtedy, kiedy się ukazała pierwsza część *Logiki* prof. Struvego, ruch filozoficzny był u nas o tyle przynajmniej ożywiony, że interesowano się w pewnych kołach zagadnieniami, które w owym czasie zajmowały najdzielniejsze umysły w Europie, a które, zapowiadając nowy zwrot w badaniach filozoficznych, wywoływały i wśród nas zacięte spory i namiętne walki. Pozostaje więc tylko przyjąć drugie przypuszczenie, jeżeli nie w całem jego brzmieniu, to przynajmniej w połowie, a mianowicie, że dotąd nie było u nas odpowiedniego gruntu dla doktryny, którą prof. Struve chciał zaszczepić. Czy obecnie grunt ten jest już dla niej dostatecznie przygotowany? Na to pytanie postaramy się odpowiedzieć później; teraz zaś musimy zastanowić się bliżej nad tem, co było przyczyną, że działalność literacka prof. Struvego, tak literacka, jak i nauczycielska, nie przyniosła pożądanych owoców w ciągu tak długiego czasu?

Jak wiadomo, panowała u nas wyłącznie, mniej więcej do r. 1860, filozofia niemiecka. Głównymi jej przedstawicielami byli: Trentowski, Libelt i Cieszkowski. Pomimo niezaprzeczonego talentu, nie mogli się oni zdobyć na nic innego, jak na różne przeróbki systematu heglowskiego, skierowane głównie ku temu, ażeby go uprościć i, o ile można, pogodzić z wymaganiami zdrowego rozumu, który w swych wywodach spekulacyjnych musi się oprzeć na czemś realnem. Bądź co bądź, filozofia ta była dla nas pierwiastkiem ożywczym. Odkrywała ona nowe widoki i pobudzała do myślenia, wyzwalała umysły z więzów tradycyjnych uprzedzeń i zaszczepiała w nie nowe poglądy. Z tem wszystkiem panowanie jej nie mogło być długiem. W samych Niemczech straciła ona kredyt, przyprawiwszy spekulacyę filozoficzną o zupełne bankructwo. Prace Kremera, który więcej był retorem, niżeli filozofem, stanowiły ostatni jej wysiłek — bezowocny — w celu przedłużenia jej u nas panowania. Nowe zasady i teorye, zapożyczone od Anglików i Francuzów, którzy wtedy właśnie zaczęli się otrząsać powoli od bezmyślnego eklektyzmu, jakim ich na dłuższy czas ukołysał był Cousin do głębokiego snu, dotarły do nas i znalazły łatwy przystęp do młodych umysłów, zniecierpliwionych dotychczasowem bujaniem myśli po nad rzeczywistością i jej pogonią za marami, niedającemi się pochwycić. Wystąpiono wtedy z całą energią, jaką tylko nowe idee mogą natchnąć, przeciwko wszelkiego rodzaju metafizycznym zakusom, stawiając na ich miejscu tak zwaną filozofię pozytywną, która za ostateczny sprawdzian swych wywodów uznaje doświadczenie i jedyny cel swój upatruje w wyjaśnieniu tego, co się dzieje w rzeczywistości, nie zaś w odgadywaniu tego, co po za nią dziać się może i powinno. Prąd ten w pierwszych chwilach był zanadto silny, ażeby jakieś przeciwdziałanie mu mogło być skutecznem. To też nawoływanie prof. Struvego do filozofii Trentowskich i Libeltów, ogłaszanej przez niego za narodową, musiało pozostać głosem wołającego na puszczy, tem bardziej, że filozofia ta w formie, jaką jej nadał prof. Struve, świadczyła wprawdzie o pracowitości autora, ale nie dowodziła ani samodzielności myśli, ani talentu pisarskiego.

Prof. Struve stawiał nam za wzór do naśladowania kierunek filozoficzny, jaki się wytworzył w Niemczech po upadku heglizmu. Kierunek ów, powstawszy pod wpływem rozczarowania, jakiego doznano wskutek przeświadczenia się o czczości wszelkiej spekulacyi, pozbawionej gruntu realnego, wypowiedział wojnę wszelkiemu systematyzowaniu myśli, które podług niego prowadzi do jednostronności. W pierwszych chwilach nie sformułowany, próbował on różnych dróg, mogących go doprowadzić do jakiegoś punktu, któryby mu służył za bezpieczną przystań w jego dążnościach, a zarazem był ogniwem, łączącem świat rzeczywisty z transcendentalnym. Taki punkt został wynaleziony nareszcie w zasadzie, która ogłasza, że *prawa bytu są równoległe do praw myślenia*. Oparty na tej zasadzie, przybrał on nazwę idealnego realizmu — i ten to właśnie kierunek pragnął prof. Struve zaszczepić, mając przekonanie, że odpowiada on najbardziej naszemu usposobieniu. Że nie mógł on trafić do przekonania umysłów, przejętych zasadami pozytywnemi, łatwo zrozumieć, gdy się zważy, że samo jego założenie jest wręcz przeciwne temu, czego nas doświadczenie uczy. Historya wiedzy ludzkiej wykazuje dosadnie, że nie wszystko to, co dla oderwanego myślenia jest prawdą, co czyni zadość wszelkim warunkom logiki dedukcyjnej, jest także prawdą przedmiotową; dowodzi ona także, że cały swój postęp zawdzięcza nie spekulacyom metafizycznym, ale spekulacyom, opartym na doświadczeniu. Założenie to nareszcie sprzeciwia się wymaganiom samej filozofii, której pierwszym obowiązkiem jest udowodnienie tego, co podaje za prawdę. Tymczasem idealny realizm wcale nie udowadnia naczelnej swej zasady, lecz ją podaje, jako pewnik oczywisty. Trudno bowiem widzieć udowodnienie jej w twierdzeniu, które samo wymaga dowodu, że świadomość jest nieodłączna od materyi. Byłoby to bowiem proste *petitio principii*, tem fatalniejsze, że leżąc w podstawie idealnego realizmu, pozbawia go tem samem wszelkiej wartości.

Bezpośredniem następstwem zasady, że prawa bytu są równoległe do praw myślenia, jest uznanie metody podmiotowej za główną w dochodzeniu praw przyrody i, co za tem idzie, jej antropomorfizacya. Wprawdzie idealny realizm przyznaje, że badanie przyrody nie może się obejść bez doświadczenia, ale niezbędnem jest ono o tyle, że daje nam poznać warunki realne, w jakich objawiają się prawdy, wykryte drogą spekulacyi. Prawdy te bowiem nie są prostemi pojęciami umysłu ludzkiego, lecz mają byt rzeczywisty, stanowią wewnętrzną istotę świata przedmiotowego. Spotykamy się tu więc z zapatrywaniem, które przypomina średniowieczny realizm. Temu się dziwić nie można. Znajdujemy w nim mnóstwo tego rodzaju reminiscencyj. Trzeba bowiem wiedzieć, że idealny realizm, jak to sama jego nazwa już wskazuje, nie jest niczem innem, jak eklektyzmem, mającym za zadanie pogodzić z sobą wszystkie kierunki myślenia spekulacyjnego, jak one się wypowiedziały w ciągu dziejów, zaczynając od Platona i Arystotelesa. Uprzedza wprawdzie prof. Struve, że ów eklektyzm ma być wyższym od tego, którego apostołem był Cousin, gdyż jest krytycznym; nie trudno atoli przekonać się, że ta jego wyższość jest prostem złudzeniem. Krytycyzm idealnego realizmu opiera się na tem, że w skład swój przyjmuje on te tylko pojęcia i poglądy, które zadość czynią wymaganiom teoryi poznania. Bardzo dobrze. Ale czemże jest ta teorya poznania? Oto wytworem tego samego idealnego realizmu, teoryą, której istotę stanowią wywody dedukcyjne z przyjętych zgóry założeń w ich odniesieniu do procesu poznania. Jeżeli więc błędne są zasady idealnego realizmu, błędną też musi być i teorya poznania na nich oparta; w takim razie jaką wartość mieć może ów krytycyzm, który ma stanowić wyższość niemieckiego eklektyzmu nad francuskim?

Realny idealizm, podając w przeciętnem sformułowaniu ostateczne wyniki spekulacyi metafizycznej i ogłaszając je za dogmaty, tem samem staje w poprzek dalszemu rozwojowi myślenia i skazuje je na wieczne obracanie się w kole zastarzałych, niezgodnych z nowymi nabytkami wiedzy pojęć i zapatrywań. Dlatego też wina niepowodzenia, jakiego doznał prof. Struve na samym początku swego zawodu naukowego, spada całkowicie na niego samego. Nie zrozumiał on potrzeb swego czasu i z powodu doktrynerskiego nastroju swego umysłu nie umiał, czy nie chciał do nich przystosować się.

Jeżeli więc dzisiaj, po tylu latach milczenia, występuje z dziełem, którego napisanie wymagało wiele pracy, ogłoszenie zaś wielkiego nakładu, to należałoby stąd wnosić, że nastąpiła jakaś zmiana bądź w nastroju społeczeństwa, które się pozbyło uprzednich swych zapatrywań i przygotowanem jest do przyjęcia zasad idealnego realizmu, bądź też w przekonaniach prof. Struvego, który nareszcie uległ prądom swego czasu i o tyle przynajmniej zmodyfikował swe poglądy, że nie zostają one w rażącej z niemi sprzeczności. Rozczytawszy się w jego dziele, przekonywamy się, że pozostaje on wiernym raz przyjętym zasadom, że prądy czasu odbiły się od jego znieruchomionego umysłu, jak fale morskie od skały granitowej. Z drugiej atoli strony i społeczeństwo pozostało takiem, jakiem było — przybyło tylko więcej obojętności na wszelkie zagadnienia naukowe! Wprawdzie pojawia się w niem coraz więcej doktrynerów, którzy szukają prawdy nie w rzeczywistości, ale w książkach i dla których Spencer jest dyletantem, Ribot—kompilatorem, Wundt

zaś uczonym, niezasługującym na miano poważnego myśliciela. Pozostają oni atoli tak samo egzotyczną rośliną na naszym gruncie, jak i ich przeciwnicy, a to tem bardziej, że swą archiwalną mądrością zostają w tak rażącej sprzeczności z prądami czasu, którym do pewnego stopnia i nasze społeczeństwo musi ulegać, że mniej wywierają wpływu na ogół, niżeli wyznawcy zasad pozytywnych.

(D. n.).

Wł. Kozłowski.

PIĘKNO W NATURZE

ze stanowiska hygieny duszy i ciała

(odczyt wypowiedziany w Zakopanem na korzyść Muzeum imienia Tytusa Chałubińskiego).

II.

Do metod, mogących zmienić wynik bodźców, wywołujących prawidłowo wzruszenia ujemne, należą: 1) *Stosowanie czynników*, bezpośrednio działających na tkankę nerwową, jak ciała narkotyczne i wogóle środki lekarskie.

2) *Przyzwyczajanie*, stępianie wrażliwości w pewnym kierunku, np. przyzwyczajanie się do goryczy, do niewygód życia, do ograniczeń narzuconych.

3) *Wprawa*, ułatwienie przystosowywania się do danych warunków wskutek czego np. ciężka zrazu praca staje się lekką, nauka trudna — łatwą. Przyzwyczajenie i przystosowanie — są to czynniki wielkiej wagi w dziejach nędzy ludzkiej: koją one potężnie cierpienie i czynią całe rzesze nieczułemi na nieszczęścia, które się wydają okropniejszemi dla tych, którzy ani przyzwyczajać się, ani przystosowywać się nie mieli potrzeby lub nie umieli.

4) *Suggestya*, złudzenie wywołane przewagą wpływów psychicznych wprost przeciwnie działających na dany ośrodek nerwowy, niż dany bodziec fizyologiczny.

5) *Dobór psychiczny* szczególnych momentów dodatnich, towarzyszących danym bodźcom ujemnym lub będących ich rzeczywistemi lub idealnemi konsekwencyami oraz spotęgowanie przez wprawę lub suggestyę wrażliwości na też momenty dodatnie. Ta to metoda zamienia ciężkie poświęcenia się na rozkoszne poczucie spełnionego obowiązku, męczeństwo — na zachwyt.

Badając metody, któremi możemy zmniejszać wrażliwość na czynniki ujemne, podnosić wrażliwość na dodatnie, a nawet tak ją zmieniać, że bodźce cierpieniotwórcze budzą w nas uczucie rozkoszy, uczymy się zmniejszać sumę dolegliwości, zwiększać sumę szczęścia, więc doskonalić życie i siebie.

Odpowiedniem stosowaniem niektórych z powyższych sposobów. mianowicie przez przyzwyczajenie, wprawę, suggestyę i naukę dobrowolnego doboru psychicznego, może na młode umysły *wychowanie* bardzo pomyślnie oddziałać i wpływać, aby rozwijające się dusze posiadały dostateczny zasób wrażliwości na to, co jest w tem życiu dobrem i pięknem, aby złe i szpetne nie wiodło ich na manowce zrozpaczonego pesymizmu.

Możemy tedy przez umiejętny dobór warunków hygienicznych i czynników pedagogicznych podnieść wrażliwość naszą na piękno, nauczyć wykrzesywania iskier prawdziwego piękna tam, gdzie organizacya cielesno duchowa zaniedbana nie znajdzie żadnej rozkosznej podniety, a nawet chorobliwie zwyrodniała czuć będzie niesmak wzruszeń ujemnych.

Ćwiczyć możemy i rozwijać poczucie piękna wogóle, a w szczególności poczucie piękna w przyrodzie. Że zaś natura otacza nas zawsze i wszędzie, jesteśmy tedy w stanie stworzyć około siebie nieustające źródła wzruszeń uszlachetniających duszę i krzepiących ciało.

Powtarzamy i czynimy nacisk na to, że wzruszenia przyjemne działają dodatnio na zdrowie nasze, wzruszenia przykre — ujemnie. *Ze stanowiska tedy hygieny rozwój poczucia piękna odnośnie do zjawisk przyrody, niemal codziennych, powszechnie przystępnych, spotęgowanie wrażliwości naszej na piękno natury — jest walnem zadaniem pedagogii.*

Przyroda jest piękną wszędzie, nietylko u stóp wspaniałych gór, nietylko nad brzegiem nieskończonego oceanu—trzeba tylko umieć ją widzieć i odczuwać.

Ileż już momentów piękna przedstawia sam koloryt nieba: przed wschodem i przy wschodzie, przed zachodem i przy zachodzie słońca, w pogodne południe i w szary dzień dżdżysty, w chwilach grożących wybuchem burz gwałtownych i w jasne noce księżycowe, ile tu, prócz lazuru spokojnego a głębokiego, gry kolorów i szkarłatu róży, złota, srebra, ołowiu i miedzi, seledynu i fioletu. Do tego przybywa fantastyczność i cudna zmienność tych mgieł zawisłych w przestrzeni, które zwiemy chmurami, a o których powiedział Mickiewicz:

U nas dość głowę podnieść· ileż to widoków!
Ileż scen i obrazów z samej gry obłoków!
Bo każda chmura inna . . . .
. . . . nawet te codzienne
. . . . . te białe chmurki, jak odmienne!
Zrazu jak stada dzikich gęsi lub łabędzi!
A z tyłu wiatr jak sokół do kupy je pędzi:
Ściskają się, grubieją, rosną — nowe dziwy!
Dostają krzywych karków, rozpuszczają grzywy
Wysuwają nóg rzędy i po niebios sklepie
Przelatują, jak tabun rumaków po stepie,
Wszystkie białe jak srebro; zmieszały się... nagle
Z ich karków rosną maszty, z grzyw szerokie żagle:
Tabun zmienia się w okręt i wspaniale płynie
Cicho, zwolna, po niebios błękitnej równinie!

Ileż to przejawów piękna daje nam powietrznia: to spokój jej senny, to powiew łagodny, wonny, to bieg energiczny, to pląsy szalone, wreszcie wicher złowrogi i pełen grozy majestatycznej zrywający się huragan. Pomijając zajmującą rozmaitość plastyki lądów i nieskończoną a tak uroczą różnorodność barw, kształtów i ruchów żywiołu wody, jakże obfitem źródłem wrażeń rozkosznych jest świat roślinny i kolorytem swym i wonią, i sylwetkami całokształtów, układem w perspektywie, ruchem i szmerom, wreszcie symbolistyką.

I tu znów niekoniecznie potrzeba nam dziewiczych puszcz Ameryki lub nieskończonych oceanów stepowych, ani palm, baobabów, cedrów lub cyprysów — wszędzie około siebie mamy niewyczerpane w czary i wdzięki, cudowne królestwo życia roślinnego — jak znowu po mistrzowsku opowiada wieszcz:

„Zaczęli więc rozmowę o niebios błękitach,
Morskich szumach i wiatrach wonnych i skał szczytach
Mieszając tu i owdzie, podróżnych zwyczajem,
Śmiech i urąganie się nad ojczystym krajem.
A przecież wokoło nich ciągnęły się lasy
Litewskie, tak poważne i tak pełne krasy!

Drzewa i krzewy liśćmi wzięły się za ręce,
Jak do tańca stojące panny i młodzieńce
Wkoło pary małżonków. Stoi pośród grona
Para nad całą leśną gromadą wzniesiona
Wysmukłością kibici i barwy powabem:
Brzoza biała, kochanka, z małżonkiem swym grabem.
A dalej jakby starce, na dzieci i wnuki
Patrzą, siedząc w milczeniu: tu sędziwe buki,
Tam matrony topole i mchami brodaty
Dąb, włożywszy pięć wieków na swój kark garbaty
Wspiera się, jak na grobów połamanych słupach
Na dębów, przodków swoich, skamieniałych trupach.
. . . .
Widziałem w botanicznym wileńskim ogrodzie
Owe sławione drzewa, rosnące na Wschodzie
I na Południu, — w owej pięknej, włoskiej ziemi;
Któreż równać się może z drzewami naszemi?..
Czyż nie piękniejsza nasza poczciwa brzezina,
Która jako wieśniaczka kiedy płacze syna,
Lub wdowa męża: ręce załamie, roztoczy
Po ramionach do ziemi strumienie warkoczy!
Niema z żalu, postawą jak wymownie szlocha!

Pamiętać trzeba, aby patrząc na krajobrazy, odróżniać to, co *widzimy*, od tego, co *wiemy* o widzianem. Cudowna gra barw w każdym pejzażu zależy w znacznym stopniu od różnych odległości planów, od gęstości powietrza, od ilości zawartej w niem wilgoci, pyłu, od położenia słońca na nieboskłonie, od układu i ilości obłoków itp. Ludzie wszakże, których zmysł spostrzegawczy nie jest wyrobiony, suggestyonują się najczęściej bardzo silnie przeświadczeniem o barwie danego przedmiotu takiej, jaką ona zwykle i zblizka się przedstawia. I tak np. koronę liściastą drzew widzą zawsze w kolorze zielonym, jakkolwiek ona w danej chwili zupełnie jest szarą; pnie drzew widzą znowu zawsze w kolorze szarym, jakkolwiek w pewnych warunkach zupełnie są fioletowymi; śnieg zawsze biorą za biały, jakkolwiek w danym razie będzie mocno sinym itd. Na zupełnie spokojnej wodzie pośród drzew nie spostrzegają odwróconego tylko, nieco przyćmionego krajobrazu, ale zdają się koniecznie widzieć i samą masę szklistej wody ze lśniącą jej poziomą powierzchnią, bo *wiedzą*, że mają przed sobą wodę.

Toż samo, co do kolorytu, odnosi się do perspektywy. Znaną im ścianę boczną budowli widzieć będą w całej wiadomej im jej szerokości i wtedy, gdy ona przedstawiać się będzie w skróceniu nie przenoszącem szerokości kilku cali; kąt prosty ramion krzyża na kościele, do którego zbliżać się będą z ukosa, jakkolwiek w istocie przedstawia się ostrym, widzieć będą prostym — bo mówi im o tem ich wiedza. Kto tak patrzy i widzi nie to, co się oku naszemu przedstawia, ale to, co jest we względnej naturalnie rzeczywistości— ten nigdy nie pochwyci całej pełni piękna krajobrazu. Trzeba uczyć się patrzeć uważnie i ściśle i widzieć pejzaż, jak go odbija klisza, naprzemian to jako płaski obraz, który istotnie takim na siatkówce się odbija, to znowu jako dobrze pojęty układ brył w głębokości i dali. Wtedy to dopiero zwrócimy uwagę na tysiące cudnych szczegółów w tonach i półtonach barw, w cudownem zestawieniu sylwetek zarośli, lasów, budowli, płaszczyzn, wzgórz, gór, horyzontu i nieba, będziemy mieli przed sobą istotny, zawsze pełen treści, żywy krajobraz; wtedy widzieć będziemy niebo w kropli rosy, atomy wody zawisłe w powietrzu, powietrze na tle krajobrazu, kontury jasne i wyraziste, w oprawie czarodziejskiej haftu mglistego, zamąconego. Z drugiej strony wiedza, zrozumienie racyi kształtów i barw, podnosi znowu ze swej strony urok tego, co widzimy. Trzeba tylko pamiętać o tem, aby *widzieć* prawdę, a *rozumieć* logikę i racyę tych prawd. Gdy jesteśmy nad brzegiem morza i wiemy, że jest ono tu paromilowej szerokości cieśniną, albo, że sięga stąd bez granic aż do bieguna, wrażenie, jakiego doznajemy w obu przypadkach, jest różne, chociaż obraz optyczny może być jednakim — tu czujemy pewne skrępowanie w porównaniu ze świadomością bezbrzeżności, tam — bezbrzeżności, która pozwala wyobraźni naszej snuć przestrzeń niby coś realnego bez końca! bez końca!.. Inne, choć nieujęte obrazy snują się nam w wyobraźni, gdy spoglądając w niebo gwiaździste wiemy, że gwiazdy są słońcami i światami, tysiące mil od siebie odległemi, inne, gdy nieświadomym umysłem nie umiemy inaczej na niebo patrzeć, jak tylko na twarde sklepienie, zdobne w niezliczone złote gwiazdki.

Rozwijać umiejętność patrzenia w około siebie, to zadanie wychowania. Zaznaczyliśmy, że do elementów piękności natury należą: niebo, powietrze, lądy, wody, roślinność. Dopełnia w niemałej mierze tego piękna fauna. Albož nie daje nam rozkosznych wrażeń ptactwo lotne, urozmaicające najróżnorodniej i najśmielej

kreślonemi liniami nawet szaro i jednostajne tło nieba, wypełniające łąki, gaje i bory wesołym szczebiotem melodyjnym i bogato modulowanym śpiewem, jednostajnem, ale pełnem dziwnej tęsknoty kukaniem pośród ciszy lasu, albo złowieszczem krakaniem, które budzi w nas uczucia smętne niby ballada tragiczna. Nawet prozaiczne stado krów ciężkich i powolnych jest wdzięcznym obrazem spokojnej szczęśliwości, wolnej od wszelakiej burzy wzruszeń namiętnych. Cóż powiedzieć o iście pięknych i szlachetnych kształtach konia, które nie mogą nie budzić w nas zajęcia, o malującym nam czar wolności tabunie rumaków ognistych, radujących się swobodą ruchów i zachwyconych zdawałoby się bardziej wonnem wolnem powietrzem, niż wonną bujną trawą pola.

Miliardy wreszcie owadów, które w dzień pogodny, upalny zachwycają oko różnobarwnością motyli, blaskami złota, bronzu i stali całych zastępów much i tęgopokrywych, a w noce letnie tak czarodziejsko brzękiem swym i świerkiem zawodzą niby pieśń weselną tajemniczym elfom. Jakże wypełniają mile naturę nawet te roje drobniutkich muszek, które kąpiąc się drżą frenetycznie w przedzierającym się przez szczeliny konarów złocistym promieniu słońca itd. itd.

(D. c. n.).

Dr. Henryk Nussbaum.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA FRANCUSKA.



Paweł Bourget: *Une idylle tragique* (Tragiczna sielanka). Paryż, 1896.

Teraz akcya odbywa się na Południu. Zaczyna się w przepełnionym domu gry w Monte Carlo, lecz dalsza jej widownia przenosi się do kwitnących ogrodów Cannes, w okoliczne lasy pinij i oliwek, na błękitne zwierciadło morza Śródziemnego i do miasta liguiów Genuy.

Na tem uroczem tle rozwija się następująca opowieść:

Elżbieta Sallachówna, córka generała austryackiego, poślubiła pod naciskiem woli ojcowskiej arcyksięcia Henryka Franciszka, człowieka bardzo uczonego, ale zarazem brutalnego i despotycznego. Nie ocieplone były promieniami serdeczności jej dzieciństwo i młodość, nie wniosło zmiany w dalsze życie i zamężcie. Powoli tak rozluźniły się związki między małżeństwem, iż tylko dach ich łączył.

W jakie dwa lata po ślubie, „Ely" poznała w Rzymie młodego Francuza, Oliwiera du Prata. Waśniły się o niego dwie damy włoskie; zadawalając swą próżność, odbiła go im. I ten stosunek nie dał jej przyjemności. Du Prat kapryśny, każdego dnia inny, robił na nią wrażenie znarowionego rumaka. Chciała go okiełzać, wyczerpawszy wszystkie sposoby, uciekła się do obudzenia w nim zazdrości. Środek omylił. Du Prat bez listu opuścił Rzym i wnet ożenił się.

Nie rozdarło to jej duszy, ale ją zraniło. Przepiórka, gdy ją jedno ziarnko śrutu zadraśnie, zerwie się i poleci, lecz upadłszy potem w bezpieczne ukrycie, będzie krwawić wrzosy i ból taki czuć, że chwil kilka nie ruszy się. Podobnie było z Elżbietą.

W tem usposobieniu dowiedziała się, że do Cannes przybył Piotr Hautefeuille. Nazwisko to wielokrotnie słyszała. Piotr był najserdeczniejszym przyjacielem Oliviera. Znajomy jej Chésy prosił, aby mu pozwoliła przedstawić go — zgodziła się.

W pierwszej chwili bowiem uknuła plan zemsty. Rozkocha w sobie przyjaciela du Prata i poróżni obu. Jednak zanadto była szlachetną, aby pomysł zrodzony w chwili rozdrażnienia przeprowadzić, tembardziej, iż wkrótce poczuła, że i ją coś ku Piotrowi przykuwa.

Walka toczyła się przez jakiś czas w jej duszy. Zasięgnęła rady przyjaciółki, pani Brion; ta poleciła jej wezwać Hautefeuille'a do wyjazdu. Uzasadniało ów urok niedawne jego postąpienie: gdy Ely chcąc trochę myśli rozerwać, zasiadła do stolika gry w Monaco i przegrała nietylko pieniądze, ale złote pudełeczko od cygar, wysadzone drogiemi kamieniami, Hautefeuille wykupił je od nabywcy.

Elżbieta Carlsberg postanowiła usłuchać towarzyszki. Niestety, znajdowała się już w położeniu łódki, która weszła w obrąb wiru i którą prąd zbyt gwałtownie ciągnie. Żeglarz wtedy składa wiosła, niema po co walczyć. Niech łódka leci, niech uderza w skałę — wysiłki daremne. Kiedy Hautefeuille, zaproszony przez żonę arcyksięcia, zawitał do jej wili i kiedy zostali sam na sam, on wspomniawszy tylko o wyjeździe, posłyszał — wyznanie miłości.

Spacerowy statek bogatego Amerykanina Marsha rozwinął żagle. Został w tyle port miasta Cannes z białemi wilami, wznoszącemi się amfiteatralnie nad zatoką, znikł z oczu wzgórek Grasse, fioletowy Esterel roztoczył falistą linię swych gór, zadrzewione wąwozy i rozpadliska, poszarpane przylądki. Potem i to zatarło się we mgle i tylko gładziuchno morze błyszczało w koło jachtu.

Na jego pokładzie znajdowali się Hautefeuille i Elżbieta. Dość dziwnym zbiegiem okoliczności: znajomy Piotra Prowansalczyk Corancez usidlił bogatą i piękną wdowę wenecką, a że brat jej byłby nie dopuścił do ich związku, uradzili wziąć ślub skrycie. Przyjaciel rodziny Włoszki, ksiądz Lagumina z Genuy, przyrzekł dopełnić obrządku. Na świadka poproszono Piotra. Pani Carlsberg towarzyszyła spiskowcom, jako ich dawna protektorka.

Dwa tygodnie minęło od owego pamiętnego widzenia się, najszczęśliwsze w życiu obojga. Świeżo tkwiło w duszy Piotra późniejsze nieco spotkanie. Czekał na nią w ogrodzie pośród wysokich kamelij: zjawiła się na dróżce obrzeżonej błękitnemi cynerarya mi, żółtymi bratkami i szerokimi fioletowemi anemonami. Z bliskich róż woń biła. Oni odszedłszy nieco, siedli pod czarnemi sosnami, zwróceni ku morzu i siwym skałom brzegów.

Tymczasem słońce zaszło nad statkiem, rzuciwszy na pożegnanie olbrzymie pęki promieni, tu różowych, tam ciemno-purpurowych, tam zielonych jak szmaragd lub olśniewająco złotych. I przestwór szybko ogarnęła noc, lecz wygwieżdżona, z młodym księżycem, pierwsza noc, kiedy mogli do siebie należeć.

Nazajutrz odbył się ślub Coranceza i zaszedł wypadek, który potargał przędzę szczęścia kochanków. Oliwier du Prat, wracając z podróży po Egipcie, przybył do Cannes. Małżeństwo świeżo przezeń zawarte było niemal odruchowo, popchnęły go doń rzymskie podejrzenia. Chciał obecnie bodaj oliwą przyjaźni uśmierzyć swe rany.

Nie spostrzegł zmian w usposobieniu Piotra, lecz że nieznaczne szczegóły naprowadziły go na domysł, iż Piotr utrzymuje stosunek miłosny, zaniepokoił się. Był początkowo na fałszywym śladzie, potem opatrzył się. Zresztą Corancez, dawny kolega szkolny, odkrył mu wszystko.

Więc pani Elżbieta Carlsberg uprowadziła Piotra w jasyr! Wychodząc z błędnego zapatrywania na jej charakter, otrzymał fałszywy wniosek: uczyniła to zapewne, aby zemścić się na nim. Tak chciała w pierwszej chwili Ely, ale potem plan upadł. Nigdy nie wspominała nawet nazwiska Oliwiera, a miłość jej była prawdziwą miłością i prawdziwem oddaniem się.

Obawy o naruszenie przyjaźni stanowiły właśnie tylko pierwszy dźwięk gamy cierpienia. Wszystkie bóle nieszczęsnej miłości ożyły. I zazdrość, i żal za tem, co stracone, smutek zawiązanego życia, nadwrażliwość na drobnostki. Zażądał widzenia się z Elżbietą, otrzymał je, lecz tem pogorszył tylko swój nastrój.

Piotr nie rozumiał najpierw stanu duszy Oliwiera. Urywek listu do Ely, znaleziony w jego pokoju, rozmowy późniejsze wprowadziły go w dzieje miłości przyjaciela. Bieżące wypadki wstrząsnęły nim również. Berta du Prat, czując oziębłość męża, a wiedząc, że kochał jakąś cudzoziemkę przed jej poślubieniem, zyskuje teraz pewność co do jej osoby i w przekonaniu, że spotkania trwają dalej, wpada w rozpacz. Hautefeuille, zdziwiony nadto milczeniem Elżbiety w sprawie Oliwiera, przejmuje oliwierowskie poglądy na ukochaną. I aby uspokoić przyjaciela, przyrzeka mu zaprzestać widywań.

Jednak trudniej dotrzymać, niż przyrzec. Przez kilka dni ściera się dzielnie z pokusami, w końcu słabnie. Odsyła bez czytania listy Elżbiety, nareszcie odczytuje jeden. Ona prosi go, aby zechciał przynajmniej wysłuchać jej wyjaśnień; udaje się wieczorem do jej wili. Oliwier wciąż w bolesnem zniewównowazeniu idzie za nim, w niczem zresztą nie przeszkadzając mu.

Tu historya przypieczętowuje się krwią. Arcyksiążę uwiadomiony, że żona widuje się z kimś, rozgniewany jeszcze za to, że w ostatnich dniach — chcąc własne cierpienie ukoić uszczęśliwieniem innych — doprowadziła do skutku nienawistny mu związek między głównym jego pomocnikiem w laboratoryum a siostrzenicą Marsha, postanowił urządzić obławę. Doniesiono mu, że furtka ogrodu otwarta. Wychodzi z kilkoma osobami szukać domniemanego złodzieja. Oliwiera w pobliżu ukrytego dolatuje rozmowa między nim a jego głównym szpiegiem. Hautefeuille'owi grozi niechybna śmierć, ostrzedz nie ma sposobu. Wtedy Du Prat powziął szlachetną myśl. Przesadził w pobliżu płot ogrodu i począł stąpać jak najgłośniej po alei. Rozległ się strzał...

„Gdzie idą nasi umarli, ci, których myśmy kochali i którzy nas kochali, względem których byliśmy życzliwi i dobrzy i ci, których zraniliśmy a nie wiemy, czy nam przebaczyli? Czy oddzieleni są na zawsze od nas, czy nieuchwytni dla naszych zmysłów unoszą się wkoło niewidzialni? Któż na to odpowie? Dość, że odtąd Elżbieta i Piotr nigdy nie mogli zobaczyć się. Ilekroć jedno chciało dać znać drugiemu znak życia, coś wstrzymywało. Umarły stoi między dwojga żywymi."

W ostatnich latach żaden utwór Bourgeta nie posiadał tyle świeżości. Rozumie się, i w „Tragicznej sielance" znajduje się autor „Kosmopolisu." I tu są dawne wstrętnienia nad ułomnością high-lifu, moralista przypomina aforyzm: „kto wejrzał z pożądaniem na cudzą żonę, już spełnił cudzołóstwo," pisarz, który nie stoi nad swojemi osobami, ale miesza się między nie, a nadto psuje nieraz wrażenie zapowiadaniami, i tu tem samem razi. Dość bezcelową jest np. inwektywa na Prowansalczyków, jako na ludzi chytrego umysłu. Ale wszystkie te usterki zdarzają się tak rzadko, że trzeba mieć wprawione na poprzednich utworach oko, aby je dostrzedz.

Pod innymi względami istnieją znaczne różnice. Znikł kazuista, nazywany psychologiem za zimne roztrząsanie nie najciekawszych zagadnień. W osnowie mimo

wysiłku nie można znaleźć tendencyi „umoralniającej.“ Chłodna matematyczność osób wróciła tylko w okrytem zresztą dość zręcznie dochodzeniu dwojga Du Pratów po nitce do kłębuszka. Natomiast, osobliwie w przedstawieniu zamętu w duszy Oliwiera spotyka się bardzo dobre podpatrzenie.

Ale nie w obserwacyi spoczywa główna cecha „Tragicznej sielanki.“ Nie jest ona ogólną, typy, z wyjątkiem może Elżbiety, są dawne; tak samo niektóre zajścia. Piotr przypomina większość bohaterów Bourgetowskich, przełom spowodowany przybyciem trzeciej osoby, wielce podobny do wypadku z „Ziemi obiecanej.“

Co stanowi jej szczególną wartość — to prostota. Właściwie cała powieść jest jakby nowelą włoską z czasów Bokacyusza. Szybko i mile opowiedziany tam bywa nie banalny wypadek, akcya lub anegdota opanowywa wszystko. Nie ma prawie głębszego rozbioru dusz, typy spotkane nie wciskają się dzięki szczególnym jakimś cechom w mózg. Ze wszystkiego zostaje wspomnienie, jak z podróży na spławach wartką rzeką. Widziało się jodły, góry, zameczyska, jest w pamięci całość, niema zbyt wielu szczegółów z powodu pośpiechu.

Ta forma ożyła w „Tragicznej sielance“; aby się w niej utrzymać, odrzucił autor sporo dawnego balastu, dlatego że jest harmonijnie przeprowadzoną, nie razi niezgłębienie osób. Czy cofnięcie się ku prostocie, czy współczesnemu ożywieniu poetyckiemu, może jednemu i drugiemu, należy przypisać, że i na tych nawet stronicach zakwitły kwiaty poezyi. Styl ciężki, brak zupełny porównań—naraz spotykają się prawdziwie piękne opisy. Więc wrażenie ostateczne jest wcale dodatnie.

W. Bugiel.

LITERATURA POLSKA.

Maryan Gawalewicz, *Szubrawcy*, powieść. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1896, tomów trzy.

Najprzyjemniejszą ze wszystkich śmierci jest podobno śmierć przez uduszenie. Bajeczkę tę słyszałem jeszcze za młodu — naturalnie nie z ust uduszonego. Nie dałem się na razie przekonać, ale oto przychodzi mi na starość wyznać, na podstawie dwuletniego blizko w *Prawdzie* doświadczenia sprawozdawczego, że tak jest rzeczywiście, że jeżeli już piśmiennictwo nasze ma skonać, to najmilej mu będzie spełnić ten wyrok niebios — dusząc się w powieści i przez powieść.

Czy sz. autor „Mgły,“ „Ćmy,“ „Guzika,“ „Perły,“ „Żony“ i „Królowej niebios“ pozwoli łaskawie na zdemonstrowanie powyższej prawdy na podstawie „Szubrawców?“ — Za uprzejmość w tym względzie płacę mu z góry, a dobrą, szczeropolską monetą: wyznaniem, że widzę w nim zdolność pisarską, popartą zacnym kierunkiem społecznym, ujętą w karby pracy systematycznej i czołą na odgłosy opinii publicznej, która — czy żąda funta mięsa w jatkach, czy łuta ipekakuany w aptece, wymaga przedewszystkiem, aby jej to podano w miękkiem zawinięciu i w woniejącej flaszeczce.

Pierwszy mąż pani Krokowskiej, Omyliński, w jakieś dwa lata po ślubie zastrzelił się nad wodą — „z tym zamiarem *zapewne* (domyśla się autor) — aby ciało spadło do rzeki i aby go tak rychło nie odszukano.“ Pani Omylińska, po paru leciech żałoby wyszła za Janusza Krokowskiego, człowieka młodego jeszcze i przystojnego, z bardzo „dobrej“ i „znacznej“(?) rodziny, dość *nawet* (?) zamożnego — ale... niemowę! Ponieważ niemowa, choćby się był z czasem o powodach zgonu swego poprzednika dowiedział, nikomuby o tem nie powiedział, — przeto małżeńskie pożycie Krokowskich było istnym rajem. Raj ten — a raczej wygnanie z niego oglądamy na własne oczy na str. 15-ej tomu I-o, w chwili, kiedy śmiertelnie chora Krokowska wraca do majątku z za granicy, a mąż przy niej, w powozie, bierze raz po raz do rąk „duży wachlarz i uważnie, cicho, aby nawet szelestem jedwabiu nie podrażnić nerwów chorej, wachluje na twarz żonie ożywcze powietrze, wpatrując się w nią troskliwie, nieustannie, jakby odgadnąć chciał każdą myśl w tej znużonej głowie i kontrolować każde drgnienie serca.“

Nic to, oczywiście, nie pomaga, Krokowska umiera pod koniec I-o tomu, zaś z rozmyślań na głos miejscowego lekarza Pniaka dowiadujemy się, że baron Phalern, krewniak nieboszczki, który wraz z innymi rozmaitymi jej „wnuczętami“ zjechał na pogrzeb, jest „szubrawcem.“ Dlaczego? — dlatego głównie, że jak się okazało z podsłuchanej przez czytelnika po pogrzebie rozmowy Phalerna z Szubą, ś. p. Krokowska majątek swój zapisała na cele pożytku publicznego... Pogłoska urzędownie sprawdza się na początku tomu II-o i autor odsłania nam przy dobrej sposobności arkana zawodu dziennikarskiego, powiadając: „W dziennikach zapełniano łamy artykułami na temat *olbrzymiego* zapisu, wynoszono pod niebiosy dobrodziejkę *maluczkich*, przyjaciółkę dzieci i *ludu*, anioła miłosierdzia i prześcigano się w wynajdywaniu dla zmarłej nazw i tytułów... W tygodnikach obrazkowych zamieszczono jej wizerunki, widoki Omylina, życiorysy, wyciągi z testamentu...“ Obalić ten testament Krokowskiej — oto zadanie krewniaków testatorki; pokazać, że krewni są szubrawcami — to zadanie trzytomowej powieści Gawalewicza; rezultat dwóch tych usiłowań dokładnie wydobywa się na jaśnię świadomości szerokiego koła wielbicieli talentu autora występuje dobitnie, wraz z sensem moralnym i filozofią zdrowego rozsądku pod koniec III-o w rozmowie d-ra Pniaka z adwokatem Zabielskim. Mecenas oznajmia, że wynik dalszego procesu uważa za wątpliwy. — „Zrobili — mówił — z nieboszczki waryatkę, z pana — doktrynera, ze mnie safandułę... Oto świat, oto opinia publiczna...“ — Pniak głowę podniósł i bystro wpatrzył się w przestrzeń za oknem, a po chwili rzekł: — „To i cóż?. mogły zatryumfować na razie fałsz, obłuda i zło, ale prawda i słuszność mimo to nie przestały istnieć, a dla nich warto nawet zginąć!.. Zabielski podniósł na niego oczy i zobaczył, że mu się twarz rozjaśniła jakby blaskiem natchnienia; mimowoli wyciągnął doń rękę z uściskiem i szepnął: — „Dzielny z pana człowiek!.

Gdyby powieść, ilustrująca i rozwijająca temat tak nieskończenie prawdziwy, ukazała się odrazu w 723 swoich stronicach, każdy z łatwością, w ciągu kilkunastu minut, wydzieliłby z niej zdolał pożywną porcyę powyższej osnowy. Zaciekawiłby nas może jeszcze problemat zgonu Krotowskiego, wykalkulowany na trafne wpadnięcie do wody—po wystrzale. W tomie II-im, od str. 109, odszukalibyśmy sobie list „bezimiennego przyjaciela młodości,“ a w liście tym — równie długim i potoczyście rozgadanym, jak i całość powieści — odczytalibyśmy odkrycie „tajemnicy dwóch grobów“ — odkrycie zresztą pospolite, idealnie niedorzeczne, wyzyskane w romansach po milion razy. Poznawszy je po raz milionowy i pierwszy, obwinęlibyśmy trzy tomy w pierwszy lepszy referat o obecnym stanie sprawy gościeradowskiej lub innej w tym guście i zasunąwszy pakiet na półkę, wrócilibyśmy do zajęć poważnych, do trosk o chleb powszedni dla siebie, o zdrowy umysłowy pokarm dla dzieci, o przykładne pożycie i zgodę pomiędzy pany chrześciańskimi.

Ale nie. Nasi autorowie i wydawcy zawczasu obmyśleli taki tryb odżywiania swych klientów, że sztukę mięsa—równie jak i ipekakuanę — pobierać musimy w ściśle określonych dozach i terminach łyżeczkami — a w rosole. Książkę można przerzucić, odcinek trzeba czytać. W krew i do mózgu dostaje się tą drogą bezmiar rozmaitych ingredencyj i tyle wody, że w niej skuteczniej jeszcze — bardziej niepostrzeżenie, niż Krokowski, utonąć, wcześniej czy później, musimy. Jest to właśnie tonięcie *na wewnątrz*, powolne, stopniowe duszenie swej inteligencyi nadmiarem płynów niepożywnych, rozcieńczających.

Twierdzenia tego nie stosujemy wprost do „Szubrawców“ Gawalewicza. W każdym ich rozdziale dobra wola wynaleźć potrafi jakiś szczegół, uzupełniający ostateczną konkluzyę: „miejmy jak najwięcej uczciwych ludzi — a wówczas jak najmniej mieć będziemy nieuczciwych“; takich szczegółów nie wolno zatem zaliczać do bezcelowych, bezużytecznych, czczych, mdłych, czystych jak destylowana woda. Tu i owdzie zdarzy się coś zabawniejszego, a nawet wywołującego uśmiech. Kiedy chorą Krokowską „wszystkie powagi lekarskie osłuchują, opukują, obmacują i następnie zaciskają usta, kiwają głowami, skubią brody, marszczą czoła i brwi,“ słyszę już zdala chychot panien garderobianych i panów kuchcików — nie żeby spostrzeżenie było trafne, profesyjne, lecz tylko dlatego, że charakterystyka jest popularną karykaturą banalnego pewnika o niemocy sztuki lekarskiej wogólności. W innem znowu miejscu, gdy baron Phalern, „zgrzytając zębami, z udaną słodyczą i uprzejmością cmoka ustami w powietrzu nad głową każdego dziecka i obdziela je w zamian pocałunkami,“ nie przeczę, że autor dość satyrycznie pochwycił bardziej od poprzedniego uspecyalizowany, rodzimy nasz formalizm obyczajowy, polegający na wzajemnem dotykaniu się ustami to wąsów, to ramion, to rąk przy powitaniu lub pożegnaniu... Ale właśnie cała ta okrasa przygodna i przybłędna, wszystek ów tłuszczyk stylowy, pływający po wierzchu akcyi, przypominający farbowanie lalek lub nakładane kolory oleodruków, ściągnął ku sobie w ostatnich czasach niemal wyłącznie artystyczną usilność piszących, pochłonął doszczętnie ich uwagę i staranność. Rozpoczęły się zażarte w ich szeregach gonitwy o strzępienie, barwienie i karbowanie płaszczyzn frazeologicznych byle czem, byle jak i byle tylko szerzej, dłużej, „dychtowniej“ — zupełnie jak w nakrochmalonych płócienkach fabrycznych.

Są umysły wielce nawet światłe i wytrawne, które w rozmnożeniu się perkalikowej tej produkcyi nie upatrują żadnych niebezpieczeństw dla literatury. Kraszewski miał podobno powiedzieć niegdyś do kogoś: uczmy czytać, uczmy czytać w jakikolwiek sposób... Ale przypomnijmy sobie ówczesny stosunek lektury powieściowej do niepowieściowej, porównajmy liczbę wychodzących książek bawidełkowych do popularyzujących wiedzę, sztukę, zawodowość, bez domieszek fikcyjnych, a przekonamy się, że w czasach znacznie realniejszych pod względem możliwości życiowych dbalsi byliśmy o zaspokojenie istotnych potrzeb swojego organizmu.

J. T. Hodi.



SPRAWY EKONOMICZNE

POSTĘPY TECHNIKI KOLEJOWEJ.

II.

Ożywienie ruchu osobowego i towarowego, mnóstwo zmian i ulepszeń pociągnęły za sobą udoskonalenie sztuki inżenierskiej w budowie i konstrukcyi mostów. Szczególnie nowe dzieła tego rodzaju doszły do najwyższej dziś doskonałości. Np. most kolei Romeńsko-Krzemieńczuckiej na rzece Sule typu *console* zwraca uwagę specyalistów urządzeniem podstaw brzeżnych i w obrębie państwa jest jedynem dziełem tego rodzaju, w całej zaś Europie — drugim. Co do materyału — najwięcej zaczęto używać w ostatniem dziesięcioleciu żelaza lanego.

Postępy techniki kolejowej wywołały przewrót w produkcyi fabryk żelaza. W r. 1866 po raz pierwszy użyto szyn stalowych zagranicznych na dr. Mikołajewskiej. Dopiero w r. 1873 zaczęły wszystkie koleje wprowadzać ową zmianę. Skutkiem tego właśnie w kraju rozwinęła się produkcya szyn stalowych na wielką skalę, szczególnie w Dąbrowie Górniczej oraz fabrykach: Niższo-Tagilskiej, Kataw-Iwanowskiej (ks. Białosielskiego) i Noworosyjskiej. Nadto cztery fabryki zajmują się specyalnie przerabianiem szyn starych: Aleksandrowska, Potiłowska, Brańska, tudzież Lilpop i Rau w Warszawie. Wogóle od r. 1874 do 1884 wszystkie fabryki wyrobiły szyn stalowych 41.621,350 pudów. Obecna zdolność wytwórcza ośmiu fabryk w całem państwie tak się przedstawia: Niższo-Tagilska Demidowa wytwarzać może rocznie 900,000—1,600,000 pud. w szyn. Kataw-Iwanowska 600,000—1,000,000 pud., Noworosyjska 1,800,000—2,200,000, Dąbrowska 1,200000—1,500,000. Putiłowska 1,500,000—2,500,000, Brańska 2,000,000 — 2,500,000, Aleksandrowska w Jekaterynosławiu 1,500,000—2,500,000, Kamieńska 1,500,000—2.500,000 pudów. Ogółem siła wytwórcza tych zakładów wyraża się w sumie 11,000,000 - 16,300,000 pudów szyn stalowych. Ostatnie dwie fabryki, najnowsze, powstały w gub. Jekaterynosławskiej i mają wielką przyszłość przed sobą, gdyż korzystają z bogatych w wysokim gatunku rud okolicznych. Z danych powyższych widzimy, że pod względem rozmiarów produkcyi pierwsze miejsce zajmuje fabryka Brańska, drugie Noworosyjska, trzecie Putiłowska, Aleksandrowska i Kamieńska, czwarte Dąbrowska. Nietylko wszakże w rozmiarach produkcyi, ale i w jakości zaznacza się postęp wyrobu szyn stalowych. Zakłady te mogą dziś wybornie rywalizować z zagranicznymi.

Potrzeba ciągłego zwiększania taboru ruchomego kolei dawnych i nowych rozwinęła także osobny dział produkcyi fabrycznej. Budowa parowozów i wagonów w obrębie państwa datuje się właściwie od r. 1844 i swój rozwój stały zaczyna od chwili powstania kolei Warszawsko-Petersburskiej. Głównem ogniskiem wytwórczości były wtedy dwie fabryki: Aleksandrowska i ks. Leuchtenberskiego w Petersburgu. Nie były one wszakże wystarczające, skoro w okresie 1844—1869 sprowadzono z za granicy 1,000 lokomotyw. Dopiero dowóz obcy stosunkowo się zmniejszył, gdy zaczęły wyrabiać tabory ruchome lub ich części inne fabryki, jak Kołomieńska inż. Struvego (w pobliżu miasta Kołomny), rządowa Wotkińska, Ludinowska Towarzystwa malcowskiego, Newska Tow. moskiewskiego w Petersburgu, Biożecka (w pobliżu Brańska), Lilpopa Rau i Lewensteina w Warszawie, fabryka Sormowska w pobliżu Niższego Nowogrodu, Putiłowska w Petersburgu, Bałtycka w Rydze. Z tych wszystkich jedna tylko Bałtycka zajmuje się specyalnie wyrobem ruchomych taborów kolejowych. Inne traktują tę gałąź jako dodatkową. Produkcya roczna fabryk powyższych bez osobnego wzmacniania środków mechanicznych może się wyrazić, według zapewnień samych fabrykantów, w następujących cyfrach: Kołomeńska 105—150 parowozów i 1,800—3,000 wagonow, Brańska 84—120 parowozów i 2,100—3,000 wagonów, Putiłowska 75—100 parowozów i 1,800—3,800 wagonów, Malcowska zobowiązuje się wyrabiać tylko wagony w liczbie 1,500, Lilpop, Rau i Lewenstein również wagony (1,800—3,000), Bałtycka 4,000 wagonów, Newska mechaniczna 72—120 parowozów, Sormowska 2,000 wagonów, Wotkińska 20 parowozów. Ogółem wszystkie fabryki mogą wyrabiać 356—490 parowozów i 15,000—19,500 wagonów. Oczywiście ta gotowość w cyfrach wyrażona jeszcze nie odpowiada wszystkim wymaganiom sieci kolejowej wobec jej rozwoju i ciągłych udoskonaleń technicznych.

Każda kolej żelazna, niezależnie od posługiwania się fabrykami, posiada swoje własne warsztaty. Niektóre z nich są do tego stopnia zasobne w środki techniczne, że mogą nietylko naprawiać stare, ale budować nowe tabory ruchome; np. warsztaty kolei Mikołajewskiej w pobliżu Petersburga (fabryka mechaniczna Aleksandrowska), budują nowe parowozy i wagony. Taką samą zdolność wytwórczą posiadają warsztaty kolei Południowo-Zachodnich. Inne, np. kolei Południowo-Wschodnich, Moskiewsko-Kazańskiej i Libawsko-Romeńskiej przerabiają stare parowozy, wreszcie warsztaty kolei Niższonowogrodzkiej, Rybińsko-Bołogoskiej, Władykaukaskiej i innych, budują nowe wagony osobowe i towarowe. Wkrótce kolej Warszawsko-Wiedeńska, o ile z planów można wnosić, rozszerzy swoje warsztaty po przeniesieniu do Pruszkowa i prawdopodobnie także rozwinie wyrób parowozów i wagonów. Ogółem dziś całe państwo liczy około 50 warsztatów kolejowych, które mogą jednorazowo przyjąć do naprawy 800 parowozów. Prawie tyleż mogą naprawić składy kolejowe (*depôt*).

Jest to wszakże pierwszy dopiero krok wyzwolenia się kolei żelaznych z zależności postronnej produkcyi wielkofabrycznej. Z tych jednak postępów techniki, które dotychczas widzimy, można wnosić, że z czasem cała sieć dróg wciągnie liczne gałęzie wytwórczości różnorodnej, będzie posiadała własne kopalnie rudy, własne fabryki żelaza, stali i szyn stalowych, wagonów, parowozów. Wreszcie rozwinie i pomnoży zakłady, wytwarzające całe armie fachowców. Dziś utrzymuje ona tylko średnie szkoły techniczne, których liczba stosunkowo jest niewielka. Ciągłe atoli udoskonalenia wymagają coraz więcej specyalistów z różnych zakresów. Obecnie koleje żelazne nie mogą już się obywać bez chemików, fizyków, elektrotechników, inżenierów, budowniczych, mechaników itd. Dostarczają tych ludzi inne zakłady naukowe, ale w liczbie nieodpowiadającej istotnym potrzebom. Otóż kto wie, czy z czasem koleje żelazne nie zdobędą się na własne szkoły inżenierskie, elektrotechniczne, mechaniczno-techniczne itd. Rozwój sieci telegraficznej kolejowej, wzmocnienie sygnalizacyi, wymaga znajomości telegrafowania nietylko od urzędników specyalnie obsługujących aparaty telegraficzne, ale wogóle od pracowników tak zwanej służby ruchu. To też koleje zaczynają zakładać już własne szkoły telegraficzne, program ich prawdopodobnie będzie rozszerzony: wejdzie do niego nauka telefonowania i posługiwania się zwrotnicami różnego typu. Oczywiście wszystkie takie zakłady, przeznaczone do przysposabiania różnych fachowców dla kolei żelaznych, będą możliwie najbardziej uprzystępnione dla młodzieży, i to zapewne dzieci pracowników tej wielkiej instytucyi komunikacyjnej. Przypuszczenia owe nasuwa ta okoliczność, że i obecnie szkoły techniczne kolejowe dają pierwszeństwo wstępu kandydatów tej kategoryi. Przykłady zaś w produkcyi na Zachodzie dowodzą, że organizacya wielkokapitalistyczna dąży coraz bardziej do uzdolnienia „swoich ludzi,“ tj. ułatwienia nauki dzieciom pracowników. Przemysłowcy tak doskonale rozumieją własny interes, że nawet naukę dają darmo.

(D. n.)

W DALI.

Radom. Przy szpitalu żydowskim powstaje pracownia chemiczna w celu dyagnostyki lekarskiej. Kierownikami będą dr. Henryk Fiedler i magister farmacyi p. Aleksander Rakowski. — Do nowej, otwartej przed kilku dniami szkoły realnej prywatnej p. Karola Loranza zapisało się 60 uczniów. Lekcye już się rozpoczęły. Opłata wynosi 40—50 rs. rocznie.—Według danych urzędowych Radom liczy 28,857 mieszkańców.—Miasto rozrasta się dość szybko. W r. b. udzielono pozwolenia na budowę 48 domów, skutkiem czego ceny cegieł gwałtownie poszły w górę. Za tysiąc sztuk obecnie płacą na miejscu 9—11 rs. Wzrostowi cen sprzyja także wywóz materyału budowlanego do Kielc. Rozwój miasta daje się spostrzegać także i w innych dziedzinach życia; np. ochronka dla dzieci na Starem Mieście jest już nie wystarczająca. Postanowiono więc za pośrednictwem wystawy starożytności zebrać fundusz na otworzenie drugiej takiej instytucyi. — Według zapewnień *Kuryera warszawskiego*, śród ziemian okolicznych powstał projekt zawiązania spółki udziałowej melioracyj rolnych. — Ziemianie z okolic Kielc wnieśli do departamentu kolejowego podanie o zniżenie taryfy na przewóz gipsu mielonego, w kamieniach. Prośbę ich uwzględniono.

Łódź. Spekulacya rozwija się pod rozmaitemi najobrotniejszemi postaciami. Obecnie przyszła ona w okolice osady Chojny, o kilka wiorst odległej od Łodzi. Jacyś poszukiwacze łatwego zarobku zaczęli sztucznie podnosić ceny gruntu tamtejszego, czyli „placów,“ jak się mówi w żargonie przedsiębiorców i reporterów. Np. za przestrzeń ziemi 1,200 łokci kwadr., kupionej w r. z. za 350 rs., dziś już żądają 1,100 rs. i podobno nawet nie brak łatwowiernych nabywców. Zwyżka ta wynikła na zasadzie tego, iż obecnie powstaje w Chojnach zakład wodoleczniczy i że podobno ma tam być otwarta stacya pomocnicza kolei Fabryczno-Łódzkiej, a więc jakoby wzrośnie poszukiwanie gruntu na budowę domów mieszkalnych dla pracowników kolejowych. — Nigdy jeszcze nie było tak znacznego napływu kandydatów do wyższej szkoły rzemieślniczej, jak w roku bieżącym. Do klasy pierwszej kołatało 212 — przyjęto 71; do trzeciej 16, przyjęto zaś tylko 6-ciu. W pozostałych klasach wcale nie było miejsca. — Postanowiono wybudować zupełnie oddzielne tymczasowe schronienie dla obłąkanych, dopóki nie powstanie zakład specyalny. Koszt budowy przytułku dla 20—30 chorych wyniesie 15,000 rs. — Według doniesień prasy, w Zgierzu przeszło od miesiąca niektóre fabryki i warsztaty ręczne zaczęły usuwać robotników z powodu produkcyi zmniejszonej. Obecnie już i większe zakłady wyrobów wełnianych z tych samych przyczyn odmówiły pracy znacznej liczbie robotników, a pozostałym zmniejszyły godziny do minimum. Stanęło około sześciuset ręcznych warsztatów i tyluż sukienników pozostało bez zajęcia. — P. Fiedler, inżenier-mechanik, proponuje stałą komunikacyę osobową na szosie łódzko-kaliskiej za pomocą karetek, poruszanych parą. Karetki takie mogą znacznie skrócić podróż. Dziś odbywana końmi trwa ona godzin 17.

Samochody parowe będą mogły całą tę przestrzeń przebywać w ciągu sześciu godzin. Jeżeli ten projekt przyjdzie do skutku, to niewątpliwie owa przyśpieszona komunikacya uwzględni także i ruch towarowy, wielce ożywiony na całej przestrzeni między Łodzią a Kaliszem. Dziś dostawa wszelkich towarów, szczególnie zaś produktów spożywczych, jest wielce utrudniona skutkiem uciążliwej komunikacyi. Projekt powyższy tembardziej na poparcie i uznanie zasługuje, że wogóle gub. Kaliska w zakresie komunikacyi kolejowej jest upośledzona i że skutkiem tego pod względem ekonomicznym stoi znacznie niżej, niż inne przyległe gubernie. — Przytułek dla starców i kalek pod zarządem miejscowego Towarzystwa dobroczynności doczekał się nowego budynku przy ulicy Dzielnej. Jest to okazały gmach trzypiętrowy, którego budowa pochłonęła około 150,000 rs. Zmieścić on może 200 pensyonarzy. Obecnie jest ich tam 112, w tej liczbie 72 kobiety.

Żytomierz. Wkrótce miasto doczeka się całkowitych urządzeń wodociągowych. Rozpoczęto już budowę smoka i wieży ciśnień; przed zimą będą ułożone rury na głównych ulicach. Niezależnie od tego magistrat ma urządzić studnię artezyjską. Złożono w tej sprawie dwie oferty: biura p. Woysławа z Kijowa i p. Kołpakczi z Petersburga. Wogóle ulepszenia miasta zaczęły szybko się rozwijać, do czego prawdopodobnie przyczyniła się poniekąd i połączenie koleją wąskotorową z siecią dróg Południowo-Zachodnich. Ruch na nowej kolei wzmaga się ciągle. W ciągu pierwszych dwu tygodni po otwarciu przewieziono między Berdyczowem a Żytomierzem 5,500 podróżnych. Z tego powodu zarząd kolei podwoił liczbę pociągów. Obecnie jest na porządku dziennym oświetlenie elektryczne. W sprawie tej zgłosiło się z ofertami przeszło 20 firm, a między niemi trzy zagraniczne: z Berlina, Norymbergi i Monachium. — Mieszkańcy Żytomierza bardzo są zainteresowani sprawą utworzenia Towarzystwa kredytowego miejskiego. Dotychczas wartość majątków podanych do zastawienia w przyszłej instytucyi wynosi już przeszło dwa miliony rubli. — Powstaje w Żytomierzu Towarzystwo badaczów Wołynia. Celem ma być poznanie kraju pod względem historycznym, etnograficznym, przyrodniczym, geologicznym itd.

Petersburg. Ministeryum rolnictwa zamierza powiększyć liczbę nagród za sadzenie lasu na miejscach pustych. Wysokość premiów będzie zwiększona, lecz jednocześnie zmniejszone rozmiary przestrzeni zadrzewianej przez jedną osobę. Jest tu więc cel wciągnięcia jaknajwiększej liczby ochotników pielęgnowania lasu.

O PRAWDĘ.

Szanowny Panie Redaktorze!

Pozwól mi na kilka uwag z powodu „Liberum Veto" z nr. 38 *Prawdy*.

1) Dlaczego zarzucono medycynie, że się dziś zasklepiła w bakteryologii — na zasadzie jakich danych?

Co do mnie, to odpowiedzieć na zarzut ten mogę następującemi np. liczbami.

W czasopismach lekarskich polskich drukowano:

W roku	1891	1892	1893	1894	1895
artykułów oryginalnych wogóle	330	351	409	502	500
w tem bakteryologii poświęconych było . .	18	18	17	17	21
tj. w odsetka	5.5%	5.2%	4.1%	3.4%	4.2%

A więc i inne, obok bakteryologii, tematy lekarzy absorbują.

Zarzut powyższy sprowadzić można do wprost przeciwnego: nie lekarze, lecz pacyenci (tj. ogół nielekarski) interesują się, z bardzo zrozumiałych powodów, więcej bakteryologią, niż innymi działami medycyny; do pism niefachowych dochodzą najczęściej wiadomości z bakteryologii; jej, jako nauce *nowej*, dużo pism popularnych poświęcono.

2) Do jakiego państwa zaliczyć drobnoustroje i przez nie wytwarzane leki, skoro się je przeciwstawia „lekom dobytym ze świata mineralnego, roślinnego i zwierzęcego?"

3) „Za drobnoustrojami gonią wszyscy, za lekami oglądają się tylko maruderzy" — czytamy.

Otóż „uganianie się za drobnoustrojami" ma na celu bliższe poznanie istoty chorób pewnych, bo im lepiej rozpoznamy chorobę, tem prawdopodobniejszem jest, że i zabiegi lecznicze stosowniejsze przedsiębrać będziemy w możności.

„Uganianie się za bakteryami" za drugi cel swój ma: zbogacenie skarbnicy leków.

4) „Specyfik dziś zeszedł na dalszy plan."

Otóż właśnie bakteryologia jest metodą produkującą *specyfiki*, tj. środki swoiście działające na istotę choroby.

5) Środki lecznicze przez bakteryologię wysunięte nie mają wcale na celu wprowadzania do ustroju ani „bakteryj malaryi," ani „bakteryj raka."

Są to wszystko *ciała chemiczne*, nieorganizowane. A nie wiem dlaczego alkaloid drzewa chinowego, wytworzony przez roślinę dużą, ma *w zasadzie* już więcej wiary wzbudzać od środka wytworzonego przez roślinki mikroskopowe, grzybki bakteryjne?

Nie chcę przedłużać listu mego. Dodam, że przy znacznej liczbie pracowników, jaką obecnie medycyna liczy, żaden środek przez kogokolwiek zalecony — bez wypróbowania nie został potępiony, ani zaniedbany. Toż samo stanie się (raczej: staje się) z glistewnikiem.

Dr. S. S.

1) Nam nie szło o artykuły specyalnie „poświęcone bakteryologii," ale o kierunek badań i wybór środków leczniczych na niej opartych.

2) Czy specyfikiem nazwiemy chininę, czę surowicę antidyfteryczną — to kwestya podrzędna, główna tkwi w środkach, a nie w nazwach.

3) „W zasadzie" może alkaloid zażywany wewnątrz nie być lepszym od wytworów szczepionych zewnątrz, ale ogół zawsze przenosić będzie pierwszą metodę leczenia nad drugą.

4) Jeszcze raz powtarzamy, że nie myślimy odmawiać bakteryologii wielkich zasług i tryumfów, ale sądzimy, że jak każda wielka teorya, tak i ta pociąga zbyt mocno ku sobie umysły badawcze. A przecież nie jest krosem wiedzy. *Red.*

II.

Szanowny Panie Redaktorze!

W nr. 40 *Prawdy* z d. 3 b. m. znajduję artykuł zatytułowany „Rachunek publiczny," a dotyczący zapisu hr. Kickiego. W pierwszych wierszach artykułu mieści się wyraźnie, że skutek odwiedzin dóbr zapisowych Orłowa i Sobieszyna przez przedstawicieli prasy był „niesłychanie haniebny dla naszego dziennikarstwa."

Nie mam zamiaru polemizować z autorem artykułu, choćby już dlatego, że odpowiedź nie mogłaby być zupełnie *szczerą* — chodzi mi zaś jedynie o wyrażenie, które wyżej przytoczyłem.

Otóż w wycieczce, jako przedstawiciele prasy, uczestniczyli pp.: Franciszek Nowodworski, Adam Nowicki, Zenon Pietkiewicz, Henryk Wierciński i niżej podpisany. Ludzie ci niedotykalnymi nie są i czyny ich, podejmowane w sprawie publicznej, mogą i powinny podlegać krytyce. Można więc dowodzić, że na wiele rzeczy patrzyli zbyt pobłażliwie, można im zarzucić, że w poglądach swych się mylą, można przypuszczać, że dali się w błąd wprowadzić — lecz twierdzić, że uczynili coś, co hańbi ich lub dziennikarstwo, do którego mają zaszczyt należeć — jest zarzutem zbyt bolesnym, aby mógł być godziwym. Przeciw temu zarzutowi gorąco protestuję.

Z poważaniem
Jan Barszczewski.

Co nasz sprawozdawca rozumiał pod wyrazem „haniebny," to chyba jasno wynika z jego wywodów: oto poprostu delegaci prasy obejrzeli gospodarkę w dobrach przeznaczonych na użytek publiczny tak powierzchownie, jak turyści krajobraz, i zamiast krytyki napisali panegiryk. Ów więc wyraz nie zawiera zarzutu moralnego dla ludzi, ale określenie wartości ich robót, które ze względu na dobro społeczne należało wykonać sumienniej. *Red.*

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Władze gubernialne, jak donosi *Warsz. Dniewnik* otrzymały od ministeryum skarbu wyjaśnienie w kwestyi, czy właściciel fabryki ma prawo nie dopuścić robotnika nieprzychodzącego o oznaczonej godzinie do roboty przez cały dzień na tej zasadzie, iż do wykonywania jej wynajęto innego. Zwyczaj ten wyniknął stąd, iż w pewnych gałęziach wytwórczości fabrycznej niektóre operacye muszą być dokonywane peryodycznie, w pewnych stałych odstępach czasu, co niezbędnie wymaga obecności danej liczby robotników. Otóż ministeryum skarbu po porozumieniu się z ministeryum spraw wewnętrznych przyznało to prawo właścicielom i dyrektorom fabryk; dla zapobieżenia jednak nadużyciom pozwoliło stosować je tylko w wypadkach zasługujących na uwzględnienie, o tyle, o ile w regulaminie wewnętrznym fabrycznym (zatwierdzonym przez inspekcyę) są ściśle wymienione zajęcia, względem których rygor podobny jest uzasadniony.

— Przewodniczący w zarządzie Towarzystwa Osad rolnych, prof. Walenty Miklaszewski, ustępuje z zajmowanego stanowiska.

— *Wszechświat* podał wniosek urządzenia w Warszawie stacyi meteorologicznej miejskiej, dla której jest już materyał gotowy: przyrządy z wystawy hygienicznej.

— Jakiś przedsiębiorca stara się o urządzenie w kilku miastach prowincyonalnych kantorów stręczenia służących, z głównem biurem w Warszawie. Ma to polepszyć stosunki między zarobkodawcami i służbą kobiecą, werbowaną wprost ze wsi.

— Z Rzymu donoszą, iż w kopalniach siarki strejkuje 2,500 robotników.

— W kopalniach północno-czeskich urządziło bezrobocie 6,500 robotników.

— Na folwarku Świętokrzyzkim w Warszawie postanowiono wznieść w r. p. przytułek dla dziatwy.

— Obrót roczny Towarzystwa stolarzy zjednoczonych w Warszawie r. z. wynosił 60,000 rs.

Szkoły. Postanowiono dodać kurs piąty instytutowi elektrotechnicznemu w Petersburgu.

— W Kaliszu wpływ do szkół jest bardzo wielki. W gimnazyum filologicznem przyjęto nad komplet; do klasy pierwszej 21 uczniów. W szkole realnej otwarto r. b. klasę siódmą, liczącą obecnie 16 uczniów.

— P. Kęszyński został profesorem w paryskiej szkole dentystycznej, narodowej.

— Nadeszło pozwolenie ministeryalne na otwarcie w Warszawie jeszcze jednej wyższej szkoły handlowej nowego typu. Pozwolenie to uzyskał p. F. Laskus, inspektor 3-klasowej szkoły miejskiej w Koninie. Nowa szkoła różnić się ma o tyle od innych, że nie będzie posiadała klasy przygotowawczej, lecz wyłącznie trzy specyalne. Od kandydatów wymagane będzie świadectwo z ukończenia przynajmniej 4 klas gimnazyum klasycznego, lub szkoły realnej z dodatkowym egzaminem z języka francuskiego i niemieckiego. Przyjmowanie Żydów ograniczono pewnym procentem w stosunku do ogólnej liczby uczniów. Kończącym kurs nauk służy ulga pierwszego stopnia ze względu na powinność wojskową, oraz prawo do tytułu obywatela honorowego, o ile nie należą do stanu szlacheckiego.

— Szkoła piwowarów stanowczo będzie otwarta przy jednym z wielkich browarów w Moskwie.

Zdrowie publiczne. W Prusiech Wschodnich szerzy się trąd. W pobliżu Kłajpedy ma powstać osobny szpital dla zarażonych.

— Cholera w Egipcie ustała.

Sądy. *Warsz. Dniew.* donosi, iż protest, założony przez prokuratora w sprawie rotmistrza Kiryczenki, która wkrótce ma być rozpatrywaną przez senat, zawiera 32 arkusze litografowane. Obrońcą podsądnego będzie adwokat przysięgły okręgu petersburskiego, Leontjew.

— W Stanisławowie sąd skazał 70 włościan z Halicza za opór władzy i zbiegowisko na więzienie od trzech dni do 5 tygodni.

Burze. Niemal w całej Europie zachodniej szalały w tych dniach burze i huragany. Zaczęły się one na morzu Bałtyckiem, poczem przeszły na Północne i ocean Atlantycki, a następnie na ląd. Na wy-

brzeżu niemieckiem morza Północnego wiele okrętów uległo rozbiciu, zginęło mnóstwo ludzi. Z miast najbardziej ucierpiał Hamburg. W Holandyi i Belgii szkody znaczne; ucierpiały bardzo Antwerpia i Ostenda. W całej Francyi burza szalała również. W Lourdes runął gmach panoramy; w Nantes, Brest, Cherbourgu, Bordeaux, Toulonie i Marsylii dużo statków uszkodzonych. Musiano na pewien czas zawiesić żeglugę między Douvrem i Calais.

Zmarli. Zdzisław Korzybski, w Warszawie; pracownik na polu nauk społecznych. Przez lat trzy w b. Szkole Głównej zajmował katedrę ekonomii politycznej i statystyki. Ogłosił drukiem kilka prac, między innemi: „O kredycie i bankach emisyjnych w zastosowaniu do potrzeb kraju naszego" i „Wstęp do teoryi statystyki."

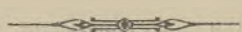
— Teodor Bereza, lekarz weterynaryi, w Warszawie; r. 1892 obchodzono jego jubileusz pracy półwiekowej. Przez ten długi okres zjednał sobie uznanie i popularność.



Pol. w Mittwejdzie. Dziękujemy.

Panu Wł. Juw. To nie poezya, nawet nie wierszowanie. Muza jeszcze nie odwiedziła Pana.

Początkującemu. W wierszach Pańskich jest szczere odczucie wdzięków natury, ale wyrażone barwami i obrazami pozbawionymi oryginalności. W tak młodym wieku wszakże można mieć nadzieję, że ona później się objawi. Niech więc odpowiedź nasza Pana nie zniechęca.



OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 27 Сентября 1896 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.